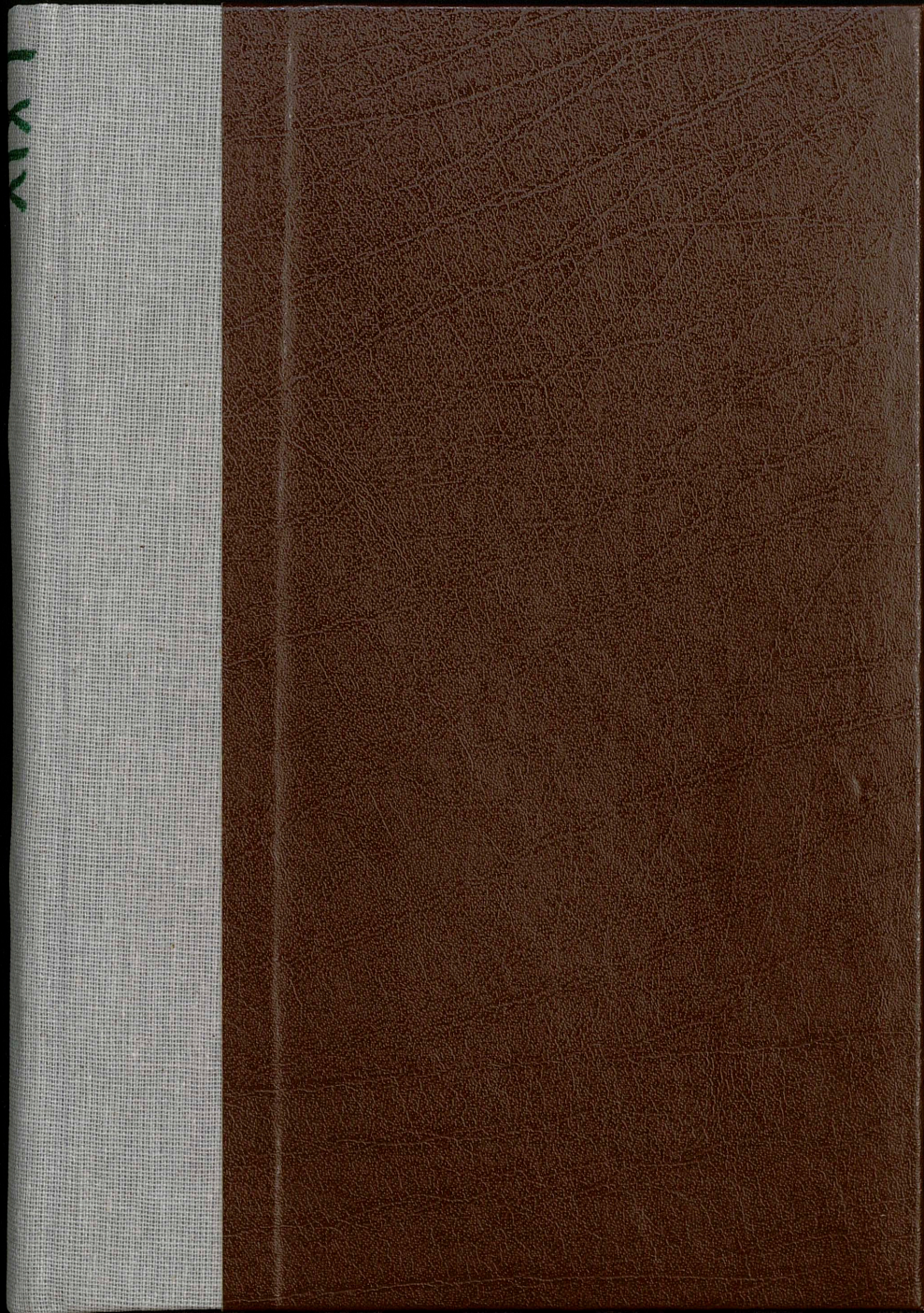
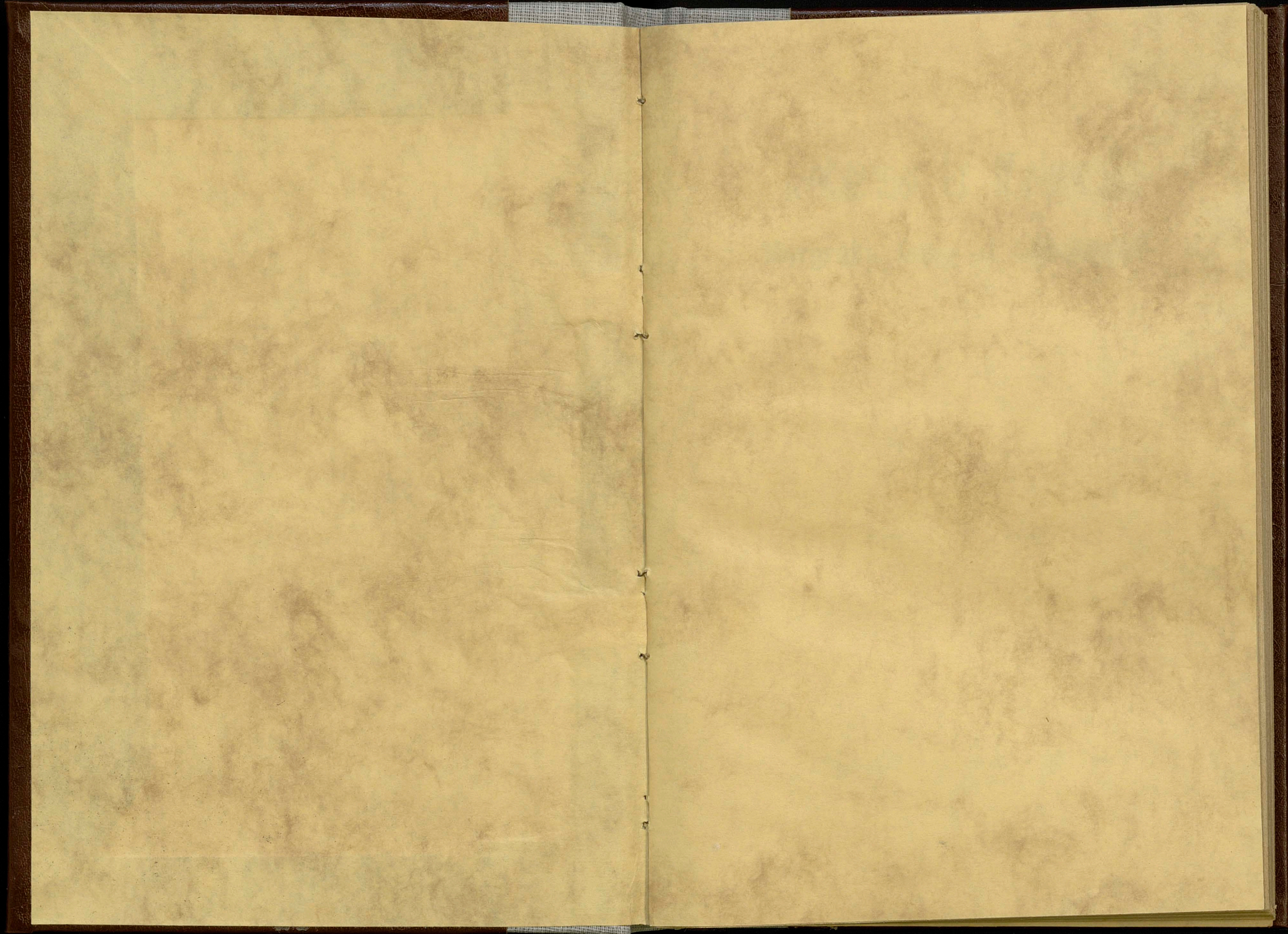






103/1a

Aleksander hr. Wielopolski
Margrabia Gonzaga Myszkowski.

Przez

A. G. [Miller]

(Przedruk z Gazety Narodowej.)

LWÓW.
Nakładem redakcji „Gazety Narodowej.”
1878.



CZYTELNIA KSIĄZEK

94(438).041.329.M(438).329-052(438)

I.

Czytając sądy i opinie o działalności politycznej i prywatnej niedawno zmarłego Aleksandra hrabiego Wielopolskiego, margrabi Gonzagi Myszkowskiego, zdawałoby się mogło, iż działalność ta wypadła w czasach bardzo oddalonych a nie rozwijała się przed oczami współczesnych, którzy te sądy dzisiaj o nim wyповідаją.

Jedni widzą w postaci margrabiego typ obywatela i męża stanu, całkowicie oddanego myśli oswobodzenia Polski; inni, jak *Czas*, wielbią go za to, iż nie myślał o oswobodzeniu Polski lecz znalazł sposób zapelnienia tej przepaści, jaka się wytworzyła przez rozbiory pomiędzy narodem a obcymi rządami, nad nim panującymi; inni wreszcie w zapale pochwał, wszystko co tylko margrabia uczynił, starają się przedstawić jako doskonałe, rozumne i wielkiej światowej doniosłości, pociągając naród do odpowiedzialności za to, iż nie widział w Wielopolskim zbawcy swojego, lecz go odrzucił jako odszczepieńca idei narodowej.

Zbyt by nam wiele miejsca zajęło sprawozdanie ze wszystkich poglądów, jakie wypisano w ostatnich czasach z okazji margrabiego Wielopolskiego. To tylko powiemy, iż żaden z tych poglądów nie jest oparty na rzeczywistości, żaden z nich nie przedstawia nam margrabiego w prawdziwym świetle faktów, wszystkie zaś odzywając się o nim jakby o człowieku mało

znany, usiłują otoczyć go blaskiem, pełnym uludy, z zamiarem nowego kuszenia narodu na drogi obce jego interesom i celom.

Stronnictwo dominujące u nas t. j. stronnictwo reakcyjne, robi z Wielopolskiego bohatera prawie tej miary a większej dla narodu ważności niż Kościuszko i przedstawia w nim wzór prawdziwie polskiego polityka, który odgadł sposoby, prowadzące do ostatecznego załatwienia kwestji polskiej, przez zrzeczenie się narodu dążeń do niepodległości a skłonienie rządów do nadania mu autonomii.

Sprzeczność jaka zachodzi pomiędzy prawem narodu a ostatecznym celem polityki Wielopolskiego, zamiast powstrzymać ich od panegirycznego opisywania jego działalności, zdaje się być dla nich podniecią do tem gorliwszego określenia w tej polityce systemu, godnego naśladowania po wszystkie czasy. W tej to chęci narzucenia narodowi wzoru i metody do nowej dla niego polityki, leży właśnie owe niebezpieczeństwo panegiryków Wielopolskiego, nie ulega bowiem wątpliwości, iż w obecnym upadku ducha, spowodowanego przez kilkunastoletnią propagandę stronnictwa reakcyjnego i przy pomieszaniu pojęć o tem co jest rzeczywistym interesem oraz prawem narodu, co jest jego godnością a co hańbą, znaleźć się mogą umysły słabe, które dadzą się łatwo złudzić kłamliwym wzorem.

Nigdy też, przy żadnej okoliczności nie ujawnił się bardziej stanowczo rozbrat pomiędzy ideałami narodu a dążeniem stronnictwa reakcyjnego, jak przy okazji pisania tych właśnie panegiryków.

Już bowiem bez żadnej osłony stronnictwo to podnosi jako chlubę rozumu stanu polskiego ten fakt, iż znalazł się w dziejach porozbiero-

wych mąż, który uznawszy niezależność Polski za marzenie, nie dające się ziszczyć, nadzieje przyszłości obalił i śmiało a energicznie wziął się do narzucenia narodowi nowych dążeń, niemających nic wspólnego z odrębnym politycznym bytem. Jakże zaś dążeń, Wielopolski narodowi chciał narzucić, a które są wiadome jego panegirystom w *Czasie* i w innych reakcyjnych pismach, najdokładniej przekonają nas własne słowa margrabiego, który w sławnym swoim liście do Meternicha o rzezi galicyjskiej, wzywając wszystkich Polaków do poddania się Moskwie, oddaje carom w niewolę dobrowolną cały naród, jego prawa i jego nadzieje, tę jedynie stawiając prośbę, ażeby cesarze Moskwy wywarli zemstę na Austrii za krew rozlaną w r. 1846 w Galicji.

Cytujemy w dosłownem tłumaczeniu słowa Wielopolskiego: „Przychodzimy — pisze on — oddać ci się, tobie, najwspaniałomyślniejszemu z nieprzyjaciół naszych. Dotąd należeliśmy do ciebie jako niewolnicy przez podbój i grozę i mieliśmy sobie za nie przysięgi na nas wymuszone; dziś zdobywasz sobie nowe prawo nad nami. Łącząc odtąd nasze losy z losami twego państwa, oddajemy ci się jako ludzie wolni, którzy mają odwagę uznać się zwycięzonymi; robimy to z własnej woli, bez chępliwości i rachuby, z serca i przekonania. Od dnia dzisiejszego stajesz się (t. j. car) także dla nas jak to już byłeś pomimo nas, naszym panem z łaski Boga, którego oddajemy się wyrokom, objawianym w przeznaczeniu narodu naszego. Porzucamy wszystkie nasze zasoby, owe sympatje wyrachowane i zwodnicze, ową niekosztowną wymowę, owe gwarancje i to wszystko co ludzie

ubierają w szumny tytuł prawa narodów, resztki odzieży, jaką litość europejska raczyła nas odziewać, a która jednak nie pokrywa ran i hańby naszego ciała zbolełego.

Nie, nie wyłamujemy się z pod żadnego z praw rządzących twem państwem; żadnych warunków nie kładziemy: sam osądzisz, kiedy ci się spodoba zwolnić surowość swych ustaw względem nas; a więc bezwzględnie poddajemy ci się. Jedną tylko wysłuchaj prośbę, prośbę pokorną, zapisaną w naszych sercach palącemi głoskami; tę prośbę jedyną: nie zostaw bez kary zbrodni, popełnionej przez cudzoziemca na braciach naszych w Galicji, a we krwi rozlanej nie zapominaj krwi słowiańskiej, o pomstę wołającej.“ *)

W tych słowach mieści się cała idea Wielopolskiego. Niewola przymuszona, zamieniona na niewolę dobrowolną; posłuszeństwo carowi utrzymywane dotąd przez grozę, zamienione w przyszłości na posłuszeństwo z własnej woli, z serca i z przekonania. Rzucenie pod nogi władcy północy wszystkich praw narodowych, nie tylko zapisanych przez historję i zrosłych z sumieniem Polaków, ale nawet praw gwarantowanych przez międzynarodowe traktaty; oddanie się w niewolę z całemi zasobami tak moralnemi jak materialnemi bez żadnych warunków, bez żadnych żądań, bez autonomii i wcielenie zupełne do państwa moskiewskiego z zachowa-

*) Lettre d'un gentillhomme polonais sur les massacres de Galicie, adressée au prince de Metternich, à l'occasion de sa dépêche circulaire du 7 mars 1846.

niem całej surowości praw tego państwa, których złagodzenie zależnem uczynił jedynie od łaski cara, oto czem Wielopolski zapelnąć chciał przepaść, jaką rozbiory i rządy moskiewskie wykopały pomiędzy Polakami a Moskalami.

Zaiste nie można było jaśniej się wyrazić i dobitniej zgodzić się na ostateczny cel polityki moskiewskiej w Polsce, t. j. na zagładę imienia polskiego. Ze słów prośby o zemstę nad Austryją wysuwa się niedwuznacznie myśl panslawistyczna. Uważając Moskali za Słowian, w imię wspólnej krwi przekazuje Wielopolski Moskalom jako braciom Słowianom, zemstę na cudzoziemcach, którzy tę krew rozlali. Wspólność ta krwi w wyobrażeniu margrabiego motywuje dobrowolne złączenie się Polaków z Moskalami i usprawiedliwia zrzeczenie się samodzielnego bytu na rzecz państwa moskiewskiego. Jest to więc najpospolitszy panslawizm, ten sam, który porывa Czechów, Czarnogórców, Bułgarów, Serbów i jest przyczyną toczącej się obecnie zaborczej wojny w Turcji.

Wprawdzie do zakreślonych panslawistycznych konturów polityki Wielopolskiego, przybył z czasem jeden jeszcze szczegół, niewspomniany w liście do Meternicha, szczegół, który maskując ostateczne cele jego polityki, stał się powodem obalamucenia Polaków i wywołał owe różne sądy oraz poglądy na działalność margrabiego, wspomniane na początku naszego studjum szczegółem tym jest zachowanie narodowości polskiej przy wcieleniu politycznem do państwa moskiewskiego, i pewien szczupły wymiar administracyjnej autonomii, który miał w tym systemie zastąpić ostateczny cel wiekowej dążności Polaków, t. j. odzyskanie bytu politycznego.

Wspomnieliśmy, iż uzupełnienie to systema-

tu Wielopolskiego stało się dzisiaj źródłem niebezpiecznych złudzeń w łonie samego narodu, dało bowiem pozór panegirystom margrabiego do ubrania jego polityki w szaty i kolory narodo-
we. Złudzenia te jednak rozchwiać się muszą, skoro przytoczymy tę charakterystyczną okoliczność, iż nie margrabia Wielopolski postawił żądanie zachowania narodowości i autonomii, i nie on sformułował program koniecznych dla Polaków koncesyj. Program autonomiczny sformułowany został przez warszawskie mieszczaństwo, wywalczonym zaś został przez tak zwaną „ulicę“ w r. 1861. Wielopolski przedstawił go tylko rządowi jako w niczem nie wykraczający przeciwko celom moskiewskiej polityki w Polsce, i przekonał, iż program ten ułatwia osiągnięcie tych celów przez to, iż nieznacznie, w sposób pośredni godzi Polaków z losem, jaki im rząd carski przeznaczył, którego to losu dobrowolne przyjęcie margrabia w sławnym liście do Meternicha w imieniu narodu przyobiecał.

W dalszym ciągu postaramy się udowodnić niezbitemi, przez historję zapisanemi faktami, iż uzupełnienie systemu panslawistycznego autonomją Królestwa polskiego było dziełem przypadkowym, nie margrabia bowiem spowodował reformy 1861 r., lecz przyszedł do gotowych już, wezwany przez rząd do ich wykonania.

Przedstawimy zarazem i przyczyny, które częścią w rządzie moskiewskim spoczywały, częścią w charakterze i w pojęciach samego margrabiego miały swoje źródło, a które zrobiły nie wykonalnemi owe reformy. W przyczynach tych wyszła na jaw ponownie panslawistyczna doktryna Wielopolskiego, niedopuszczająca uznania Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy za ziemie polskie, i zastosowania do nich koncesyj, poczy-

nionych narodowości polskiej w Kongresówce, czego usilnie domagała się opinia całego narodu, manifestująca się w dobitny sposób co do tych prowincyj.

Oznaczywszy t. z. ideę Wielopolskiego jego własnemi słowami, wyrazić tu musimy zadziwienie nad sposobem, jakim panegirysta zmarłego margrabiego usiłują spopularyzować pomiędzy Polakami jego panslawistyczną politykę, przedstawiając ją jako narodową i mogącą jedynie nas ocalić, jej zaś autora, jako męża przeznaczeń i bohatera, godnego stanąć wobec tych mężów stanu, którzy tak co do zasad, jako też i celu nie sprzeniewierzyli się nigdy tradycji, na którą złożyła się tysiącletnia przeszłość, wszystkie krzywdy i męczeństwo Polaków.

Zadziwienie to nasze nie jest wolnem od oburzenia. Wszakże to nasze oburzenie wydać się musi każdemu sprawiedliwemu a niezbłąkanemu doktryneryzmem umysłowi, jako zupełnie uzasadnione, skoro powiemy, iż w tem sfałszowaniu niedawnej historii margrabiego Wielopolskiego, kryje się nowe samobójcze pokuszenie, usiłujące Polaków rzucić w objęcia caratu, i to bez żadnych warunków, z jedyną pokorną prośbą, ażeby nam zapomniano, iż byliśmy narodem, że jesteśmy narodem, i że jako naród historyczny walczyliśmy i upominaliśmy się o nasze prawa i o naszą wolność.

Margrabia Wielopolski politykę swoją pojędzenia i państwowego złączenia się z Moskwą wyrabiał w długich chwilach samotności, które spędzał w dobrach swoich, odosobniony od ludzi, od których odpychała go duma i wyniosłość charakteru.

W młodości swojej gorącego serca, pałał żądzą odznaczenia się i gotów był orężem wal-

czyć za Polskę. Stawszy się panem ordynacji, margrabia zajęty „własną swą ważnością“, szukał dla niej podstawy w rozległym majątku.

Objął on ordynację i majątki rodzinne, mocno obdłużone. Za ubogi, ażeby mógł odegrać rolę, o jakiej marzył, wziął się do powiększenia majątku dwoma sposobami. Pierwszy sposób była to oszczędność, posunięta aż do sknerstwa, drugi sposób procesu, jakie powytaczał nabywcom dóbr ordynackich z tytułu, iż sprzedaż ich była nieprawna. Procesów tych była znaczna liczba. Najdonioślejszym był proces, wytoczony Janowi Ulrykowi Szanieckiemu, mecenasowi warszawskiemu, następnie posłowi na sejm, który nabył część dóbr ordynackich za ośm milionów złp. od ojca Aleksandra, margrabiego Józefa.

Józef wyjednał u rządu austriackiego, panującego naówczas w tej prowincji Polski, pozwolenie sprzedaży części ordynacji na spłacenie długów. Pozwolenie to, potwierdzone przez rząd księstwa Warszawskiego, uczyniło sprzedaż zupełnie prawną, pomimo to młody ordynat Aleksander najechał dobra Szanieckiego i zabrał je, z czego wytoczył się długo trwający proces, ukończony dopiero w r. 1839.

Margrabia dowodził, iż cesarz austriacki nie miał prawa wydawać pozwolenia a Fryderyk August zatwierdzać tego pozwolenia. Sam stawał w sądach, dowodząc praw swoich; ogłaszał mowy swoje drukiem, następnie opisał proces ten w grubej książce. Skończył on się niepomysłnie dla margrabiego, jednakże przyniósł mu tę korzyść, iż przez lat kilkanaście ciągnął zyski z dóbr najechanych.

Szanieckiego proces ten zrujnował zupełnie

i sprawił, iż zacny ten a zasłużony sprawie narodowej mąż umarł w Paryżu w nędzy.

O innych procesach nie piszemy; dość powiedzieć, iż nie było sąsiada, nie było rządcy dóbr, ekonoma a nawet lokaja, z którymby się nie procesował o jakieś urojone pretensje lub niezapłaconą pensję. Procesy te uczyniły margrabiego prawnikiem, i wyrobiły w nim ów charakter zacięty, uparty a nieugięty, który następnie sprowadzić miał tak smutne skutki dla narodu, rządy swoje bowiem nawet zaczął pojmować jako proces wytoczony narodowi, któremu wydrzeć chciał całe mienie moralne i materialne, ażeby je rzucić na łup swojej doktrynie pojednania i połączenia z Moskwą.

Wspominając o procesach, niepodobna nam pominąć jednego z najważniejszych, jakim był proces z rodzeństwem Konstantego Świdzińskiego, trwający cztery lata. Świdziński testamentem zapisał bibliotekę swoją wraz z dobrami Wielopolskiemu, z warunkiem, ażeby ją wcielił do ordynacji, otworzył na użytek publiczny, i utrzymał mianowanych w testamencie bibliotekarza i opiekuna biblioteki. Wielopolski warunków nie dopełnił, postępowaniem swoim zraził tak Edwarda Nowakowskiego, jak Juliana Bartoszewicza, którzy odstąpili od obowiązków, przeznaczonych sobie w bibliotece przez Świdzińskiego, nie chcąc mieć nie do czynienia z margrabią. W końcu Wielopolski ustąpił, oddawszy bibliotekę Świdzińskiego ordynacji Krasieńskich, proces jednak, jaki prowadził, uczynił go wielce w kraju niepopularnym, przedstawił go bowiem jako egoistę, za nic sobie mającego zaufanie zmarłego testatora i za nic opinię publiczną, upominając się o to, ażeby wola testatora była święcie dopełnioną. Przytem wyszła obojętność jego na do-

bro publiczne kraju w jaskrawy sposób na wierzch, razila zaś tem więcej Polaków, iż pokryta była pychą, w sposób lekceważący usiłującą przekonać wszystkich o szlachetności swego postępowania.

Szlachetności tej nikt się jednak dopatrzeć nie mógł ani w prywatnem, ani w publicznem postępowaniu. Sąsiad niegościnnie i odpychający, pan nad włościanami twardy i nieużyty, dla służby domowej srogi i niewypłatny, Wielopolski znany był tylko z licznych swoich procesów i z owego listu do Metternicha, w którym rozwinał system samobójczej polityki. Wprawdzie był także znanym ustęp z jego życia, który rzucał cokolwiek jaśniejsze światło na margrabiego, lecz nie zdołał on poprawić mu reputacji. Mówimy tu o jego udziale w powstaniu r. 1831 i o przyjęciu misji dyplomatycznej do Anglii. Misja ta była niefortunna, skutku żadnego nie przyniosła, lecz z tego powodu nie można mu było zrobić żadnego zarzutu, Wielopolski bowiem spełnił, co do niego należało.

Pomimo tego już w r. 1831 zwrócił uwagę na siebie charakter Wielopolskiego, i wywołał o nim sądy wcale niepoehlebne. Joachim Lelewel, widząc jego działanie przy rządzie narodowym w stopniu radcy stanu, i słysząc jego mowy w sejmie, w którym zasiadał jako poseł z powiatu grodzieńskiego, nazwał go człowiekiem niepewnym, zdolnym intrygantem i szalbierzem Wielopolski pokazywał się i w klubach, gdzie także nienajlepsze zostawił po sobie wrażenie.

Po upadku powstania r. 1831 Wielopolski przebywał czas jakiś na emigracji w Dreźnie, lecz niebawem zyskał amnestję, przedstawił się Paskiewiczowi, i powrócił do swoich dóbr i do przerwanych procesów przez r. 1831.

Od tego czasu aż do roku 1846 zajęty był wyłącznie sprawami majątkowemi. W pamiętnym zaś r. 1846 zgroza, jak powiada Roger Raczyński, uczyniła go mężem stanu. Zarzucając rządowi austriackiemu, „że przyjął od demokracji to, co w niej jest najpodlejszem, nieustanne jętrzenie żądz i zawiści“, napisał znany nam już z konkluzji list do Metternicha. W początkach tego listu powiada on: „Sam sobie kłamię monarchizm, gdy zachowania swego jedynie w rozwiązaniu historycznych stosunków i społecznych węzłów szuka. Chcecie na szerszej podstawie ustalić zasady potęgi waszej, a obchodzicie krwawemi cudzołozstwami, te nowe tajemnice prawowitości waszej. Teraz obyczaj jest zniszczonym, naród rozwiązany w proste żywioły, nowe więc formy, nowa idea i namiętności nowe, z tych rozbitych porodzą się żywioły. Czyż Opatrzność nie wzbudzi męża silnego ku opanowaniu tylu obelg, tylu nieszczęść i tylu przekleństw, któryby te wieczyste furje sprzągnął do swego wozu, i połączył ku zemście zbezczeszczone i rozerwane członki słowiańskich pokoleń? Organa opinii w całych Niemczech urągają wszystkim wspomnieniom i wspólnej cześci naszej, a mają nas za płód zbyt surowy i podły, aby się mógł do własnego uorganizować życia, a który Opatrzność na to skazała jedynie, aby służył ku rozwinięciu rzekomej Niemców wielkości.“

Nie przeczymy, iż słowa te, pełno grozy, mają swoją wielkość, lecz wrażenie grozy i poczucie klęski bywa po wszystkie czasy ojcem złej i nikczemnej polityki. Tak stało się i w tym razie. W końcu tego obrazu, który podyktowało szlachetne oburzenie i wrażenie klęski podobnej, jaką już raz Polska widziała w samych początkach swoich nieszczęść, w rzezi Hu-

mańskiej, dokonanej nożami poświęconemi przez popów moskiewskich, Wielopolski zapomniawszy o przeszłości, zwraca się z okiem szukającym mściciela, do tych, którzy także wszystkie furje zniszczenia rozpuścili nad Polską. Nie czuł on, iż szlachetne oburzenie utracić musiało swoją wielkość i słuszność, gdy wezwało o ratunek tych, którym się nieraz noga we krwi polskiej pośliznęła. System pojednania, lecz zle się wyrażamy, system zrzeczenia się polskości na rzecz państwa moskiewskiego, byle tylko za tę ofiarę wywołać męża Opatrzności ku zemście za doznane obelgi i nieszcześcia, jest systemem gorszym od samego nieszczęścia, a sam w sobie jest największą obelgą dla narodu.

Margrabia nie rozumiał hańby w tym systemie, nie przeczuł klęsk, jakie w sobie zawiera, nie przewidział niebezpieczeństwa zagłady, jakie w sobie mieści. Umysł jego zahartowany w praktykach pieniactwa nie miał w sobie owej wielkiej praktyczności, którą obdarzone są dusze czyste i umysły podniosłe. Niemoralność węzła, jakim nas chciał połączyć z Moskwą, nie razila go bynajmniej, a przecież zemsta, ów węzeł, którym chciał nas połączyć z najokrutniejszym nieprzyjacielem, jest nawskróś niemoralną. Podanie omdlałej ręki do uścisku zgody i pokoju tyranowi, którego dzieje zapisane są krzywdami polskimi, widok to ohydny, zdolny odjąć Polsce ten szacunek, jaki sobie ojczyzna nasza zjednała u narodów, wytrwale znosząc męczeństwo a z większą wytrwałością walczyć i upominając się o swoje prawa.

Pomijamy niepraktyczność myśli którą Wielopolski proponował. Wszakżeż już wprzód książe Adam Czartoryski, w innych, dogodniejszych i więcej sprzyjających warunkach, praco-

wał nad pojednaniem Polski z Moskwą za Aleksandra I. Polacy nie dali wtedy powodu do nieufności, nie podnieśli oręża przeciwko Moskwie, przyjęli szczerze autonomją konstytucyjnego Królestwa, wykonywali wiernie obowiązki poddanych, a przecież obudziła się przeciwko nim nieufność moskiewska, będąca w tym razie niepohamowaną żądzą zaboru i zagłady, tak Moskalom przyrodzona, i odjęła Polakom swobody, potargała konstytucję, zostawiając tylko jej strzępy przed godziną listopadową.

Doświadczenie księcia Czartoryskiego przeszło dla Wielopolskiego niepostrzeżonem. Podniósł on myśl jego w warunkach najniegodniejszych, czyniąc zupełnie zależnym los Polaków od łaski lub niełaski cara. Wezwanie też jego odrzuciła na razie pycha cara, która nie dopuszcza nawet prośby poddanego. Pokora proszącego wydaje się autokracie buntiem, jeżeli się zwraca z jakimkolwiek żądaniem, a choćby nawet błaganie. Jakoż uznanym będąc za akt buntowniczy, list do Metternicha został w Polsce zakazany, a Kraków jakby dla pokazania wartości systemu Wielopolskiego, wydany został Austriakom.

Pomimo tego margrabia nie porzucił swojej myśli. W r. 1847 i 48 widzimy go bardzo czynnie propagującego swój systemat poddania się Moskwie.

Pokazał się na pierwszym zjeździe Słowian w Pradze w r. 1848. Nie występował wprawdzie jawnie, lecz po za kulisami dowodził, iż Słowianie nie dla utrzymania państwa austriackiego łączyć się powinni, jak opiewała odezwa Witalisa Grzybowskiego, wzywająca Polaków na ten zjazd, lecz stawać powinni pod sztandarem Moskwy. Rozpędzenie Zjazdu w Pradze

przyjawszy jako poparcie swojego dowodzenia, powrócił margrabia do Chrobrza i w szczupłym już tylko kółku nielicznych swoich przyjaciół propagował myśl swoją dobrowolnego poddania się Moskwie. Do rządu jednak się moskiewskiego nie zbliżał, czekając na wypadki, któreby powołały go na widownię i do tego rządu zbliżyły. Wszelakoż przejęty był tak dalece myślą związku z Moskwą, iż nie zaniechał jej wypowiedzieć nawet w mowach swoich procesowych.

Zygmunt Krasiński, słysząc jedną z tych mów, pełną staroszlacheckiej wyniosłości i nowoczesnej doktrynerskiej buty, powiedział te charakterystyczne słowa: „Czyż nie Nabuchodonozor, na trzy dni przedtem, nim poszedł na paszę?”

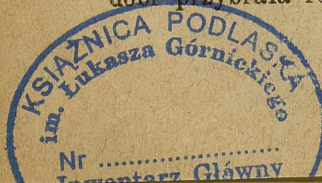
Tymczasem zbliżyły się wypadki 1861 r., które wyprowadziły margrabiego z zacisza domowego na szeroką widownię publiczną i otworzyły mu pole do praktycznego zastosowania polityki, pod wrażeniem klęski, w zgrozie oburzenia zrodzonej a wypielęgnowanej w samotnych godzinach odosobnionego życia na zamku w Chrobrzu.

Zobaczmyż, jakimi to sposobami przeprowadzał Wielopolski myśl swoją?

II.

Stan Polski pod rządami Mikołaja był opłakany. Prześladowanie zamienione na systemat rządzenia i przeprowadzano go z szatańską konsekwencją.

Rząd moskiewski w sposób niedwuznaczny, lecz wyraźny i jasny postawił zagładę jako cel, do którego dążyć powinien wszelkimi środkami. W środkach zaś bynajmniej nie przebierał; każdy był dobry, byle tylko Polaków tępił i ograniczał ich w swobodzie ruchów. Nietylko wszakże działanie Polaków zostało skrepowane, ale nawet ich sumienie, myślenie i uczucie wzięto w kluby najstraszniejszej niewoli. Dość było objawu przywiązania do narodu i jego przeszłości, ażeby ściągnąć na siebie baczne oko policji i wywołać śledztwa i więzienie. Podejrzenie starczyło za dowód i zastosowano go w postępowaniu policji oraz w sądach wojennych przeciwko wszystkim Polakom. Wystarczało doniesienie tajnego szpiega, iż ktoś czuje i myśli po polsku, ażeby się dostać do cytadeli i przejść krzyżową drogę śledztwa, nieprawego wyroku i wygnania syberyjskiego. Posiadanie książki patriotycznej poczytane było za zbrodnię stanu. Praca nad oświatą ludu, czyny miłosierdzia i dobrodziejstwa sprowadzały za sobą srogie kary, które pozbawiały człowieka szlachetnego osobistej wolności, a rodzinę jego majątku. Konfiskata dóbr przybrała rozmiary zatrważające; konfiskate



zaś wywoływano najbardziej błahemi pozorami. Nikt się nie czuł pewnym w swojej własności, nikt zabezpieczonym w swoim sumieniu. Religia katolicka doznawała nieustającego także prześladowania. Około pięciu milionów unitów na Litwie i Białorusi, Wołyniu i Ukrainie napędzono do schyzmy gwałtami i mękami, które przypomniały martyrologię pierwszych chrześcijan. Liczbę wyznawców łacińskiego obrządku w tychże samych prowincjach zmniejszono podobnemi sposobami prawie o połowę. Gdy przytem nie było nawet swobody na polu przemysłu i handlu, cały zaś system ekonomiczny i administracyjny rządu dążył do zamienienia Polaków na nędzarzy, aby tem łatwiej uczynić z nich pokornych i posłuszných niewolników, dziwić się nie można, iż Polacy rzucili się dla własnego ratunku, do tajemnych związków i spisków.

Jawnie nie można było ocalić ani majątku, ani religii, ani nawet cnoty w społeczeństwie; trzeba się było kryć ze wszystkim, każda więc czynność zachowawcza, każde staranie o rozwój i postęp tak materialny jak moralny, odbywać się mogła tylko sposobem konspiracyjnym. Sposoby te były niedogodne i niebezpieczne, jednakże konieczne, gdyż innych nie było; cokolwiek też dzisiaj piszą o nich publicyści dla odstraszenia obecnego pokolenia od tajemnych związków, historia przecież przyzna tym związkom zasługę, iż one za panowania cara Mikołaja uratowały narodowość i wiarę, przechowały nieskazitelny charakter polski, utrzymały moc i potęgę opinii publicznej i rozwinęły wszechstronną a różnokierunkową na wszystkich polach życia narodowego działalność, która złamała w końcu wszystkie ostrza rozporządzeń rządowych, zwrócone w serce narodu.

Rząd moskiewski przez związki tajemne doprowadzonym został do tego, iż wola jego przeniknąć nie zdołała tam, gdzie najskuteczniej szerzyć mogła zabijające naród spustoszenie. Machina jego państwowa gniotła i cisnęła z zewnątrz, lecz nie sięgała w głąbie aż do fundamentów, tajemne bowiem działanie zneutralizować umiało jej moc szkodliwą i potęgę niebezpieczną.

Jest to fakt zaiste jedyny w dziejach, przedstawiający słabość najwyuzdańszego autokratyzmu wobec narodu ujarzmionego, lecz gorliwie przywiązanego do swoich praw i zdolnego do najwyższych poświęceń dla ocalenia dóbr moralnych, jakie Bóg i historia dały mu w jego narodowości.

W epoce już krymskiej wojny system rządu moskiewskiego we wszystkich prowincjach polskich, nad któremi car władał, był gruntownie podkopany. Muchanów rządził w Warszawie jak prawdziwy satrapa, psuł, burzył, jątrzył, kłócił społeczeństwo, lecz i on okazał się niezdolnym do skutecznej eksterminacji. Niezdolność ta nie była osobistą, lecz leżała ona w samym systemie eksterminacyjnym. Smutnem bowiem i negującym wszystkie prawa ludzkości byłoby to zjawiskiem, gdyby znalazł się rząd zdolny wymyślić system skutecznego zabijania narodów. Opatrzność sprawiła, iż system taki jest niemożliwym, a Polska, na której ciele od wieków eksperymentują najróżnorodniejsze, najbardziej złośliwe i namiętne pomysły zatracenia, zneutralizowała je wszystkie i chociaż okryta licznymi ranami, przeżyła szczęśliwie wszystkie próby tych eksperymentów.

Poczucie tej wielkiej siły zachowawczej po doświadczeniach Mikołajowskich czasów było sil-

niejsze niż kiedykolwiek, i wystąpiło na zewnątrz jako dążność organicznego odrodzenia w epoce pofolgowania jarzma i rozpoczętych reform w państwie moskiewskim, do których dała powód przegrana wojna z Europą w Krymie. Reformy te stały się hasłem następcy Mikołaja, hasłem, które mu narzuciły nieprzeparte okoliczności.

Polacy powitali radośnie usiłowania reformy i o ile na to pozwalał system autokratyczny, postanowili wziąć w tych reformach inicjatywę, tajemne działanie zamieniwszy na jawne. Następstwem tego była chwalebna inicjatywa obywateli litewskich w sprawie uwłaszczenia i wolności włościan. Sprawa ta zwróciła naród stanowczo w kierunku społecznym i obudziła wielki ruch w całym narodzie.

Nie będziemy kreślić historii zainicjowanej przez Polaków społecznej reformy, powiemy tylko, iż pojętą ona została szeroko i rozumnie. Gdy z jednej strony pracowano nad obdarzeniem włościan własnością i wolnością, z drugiej strony zaczęto pracować nad przygotowaniem tychże włościan do przyjęcia i skorzystania z reformy. Od razu więc wzięto się do oświaty ludu i jego umoralnienia.

Towarzystwa wstrzemięźliwości uznano za środek najdzielniej przyczynić się mogący do podniesienia moralnego ludu, i zarazem chroniący go od zmarnowania własności, którą miał być obdarzonym. Duchowieństwo litewskie, a zwłaszcza też żmudzkie, rozwinęło w tym kierunku tak energiczne działanie, które przeszło i do Królestwa polskiego, iż wkrótce potem liczono już liczbę członków towarzystw wstrzemięźliwości prawie na milion.

Życie narodowe, gdziekolwiek się obudzi, u-

dziela się w naszej ojczyźnie wszystkim prowincjom. Jest to dowodem żywotności i zdrowia narodowego organizmu. Społeczne działanie, o którym dopiero co wspominaliśmy, objawiło się też we wszystkich prowincjach, zwłaszcza pod cąratem moskiewskim. Ponieważ jednak prowincje te rządzone były różnemi systematami administracyjnymi i sądowymi, w skutek czego i stosunki społeczne w tych prowincjach inaczej się ułożyły, — więc i ruch ku społecznemu odrodzeniu odbywać się musiał różnemi właściwemi każdej prowincji sposobami.

W Królestwie Polskiem poddaństwo włościan zniesione było jeszcze za Księstwa Warszawskiego. Tam więc, gdy już włościanie posiadali wolność osobistą, szło tylko o samo uwłaszczenie i uobywatelenie ludu środkami, jakie prawa moskiewskie jeszcze Polakom zostawiły. Andrzej Zamojski stanął na czele ruchu społecznego. Zawiązał on Towarzystwo rolnicze, które pracując nad ulepszeniem gospodarstw, wzięło sobie także za cel podniesienie ludu przez uwłaszczenie, oświatę, rządność i lepszą umiejętność gospodarczą.

Rząd moskiewski niechętnie dał pozwolenie na zorganizowanie Towarzystwa rolniczego, odmówić go jednak nie mógł, skoro sam okazał się stronnikiem reform, i pofolgował w jarzmie. Muchanów czuwał nad Towarzystwem rolniczym, stawiał ciągle tamy jego rozwojowi i przeszkadzał w pracach. Taktowne jednak i rozumne postępowanie komitetu, a mianowicie jego prezesa, Andrzeja Zamojskiego, sprawiło, iż szczęśliwie pomijano pułapki Muchanowskie i Towarzystwo rozwijało się z taką pomyślnością, iż zagarnęło prawie całą szlachtę Królestwa Polskiego i objęło swoją kontrolą oraz bezpośrednim lub też pośred-

dnim wpływem zakres wszystkich interesów i potrzeb społecznych oraz narodowych Królestwa polskiego. Powaga jego rosła z dniem każdym tak dalece, iż rząd sam uznać je musiał za rzeczywistą reprezentację narodową. Silna i rozległa jego organizacja wytworzyła ogromną narodową siłę, z którą rząd się liczyć musiał, nie mogąc jej obejść. Jakkolwiek Towarzystwo rolnicze nie przekroczyło zakresu swojego i pilnie trzymało się dróg legalnych, obrady jego walne miały przecież pozór sejmu prawodawczego.

Jakoż wszystko co na nim uchwalone zostało, zamieniało się w prawo, moralnie obowiązujące obywateli, chociaż przez rząd nie było sankcjonowane. Popularność Zamojskiego była tak wielką, iż zdawał się być rzeczywistym, lubo tylko moralnym władcą narodu. Umiarkowany w swoich wyobrażeniach, pełen sumienia i powagi oraz taktu w postępowaniu, Zamojski posiadał wielką godność charakteru. Nieugięty i wytrwały, uczuć i myśli polskiej nie tail, choć je miarkował. Rządowi moskiewskiemu imponował on swoją prawością i tą godnością Polaka, którą mu nie pozwoliła używać intrygi, kłamstwa, zdrady, ale która też nie dozwoliła mu wchodzić w żadne nieprawie związki z tymże rządem.

Różniący się z Wielopolskim tak co do charakteru, jako też wyobrażeń społecznych i politycznych, Zamojski wielkością swoją moralną stanął na drodze ambicji margrabiego, który w ciszy swojego gabinetu przygotowywał się do publicznego wystąpienia. Chciał on zrazu obrać sobie Towarzystwo rolnicze za pole działania i przedstawił się jako kandydat na jego członka. Niepopularność jego była atoli tak wielką z przyczyn, które już wykazaliśmy i pogarda dla auto-

ra pomysłów zlania się z Moskwą była tak głęboką, iż przy głosowaniu przepadł i nie został przyjętym na członka Towarzystwa rolniczego.

Odrzucenie to margrabiego miało bardzo doniosłe następstwa, jak to w właściwem miejscu oznaczymy.

Obecnie wspomniawszy o fakcie nieprzyjęcia go na członka Towarzystwa rolniczego, co w owe czasy poczytane było za największą hańbę, jaka spotkać mogła obywatela, przechodzimy do dalszej charakterystyki Towarzystwa rolniczego!

Chociaż rząd nie mógł mu zrobić zarzutu, iż przekroczyło zakres swojego działania, jednakże mocno się niepokoił jego wzrostem i szerokim wpływem. Niepokój Moskali miał swoje źródło w tem, iż rząd carski nie mogąc się nigdy rozstać z zamiarem zagłady Polaków, patrzy zawsze zawistnem okiem na wszystko, co tylko nam daje siłę i zdrowie. Zawistne to usposobienie rosło w miarę rozwijającego się ruchu do społecznego odrodzenia w ziemiach polskich i wyraziło się przez usta samego cara Aleksandra II., który przyjmując Polaków w Warszawie, powiedział ową sławną mowę, zawierającą program jego rządów nad Polską.

W mowie tej car powiedział, iż wszystko, co jego ojciec Mikołaj zrobił w Polsce, było dobre i że on, jego następca, pójdzie śladami swego poprzednika. Przestrzegał dalej, ażeby Polacy nie pielęgnowali w sobie nadziei politycznej niepodległości i odrodzenie Polski nazwał marzeniem.

„Żadnych marzeń, Panowie!“ — rzekł car do Polaków, — inaczej karać będę surowo jak mój ojciec.“

W innych miastach polskich, jakkolwiek go

wszędzie przyjmowano gościnnie i wspaniale i wszędzie Polacy garnęli się do niego z zaufaniem, car Aleksander II. dawał podobne upomnienia oraz podobne zapowiedzi prześladowania, jeżeli Polacy nie przestaną marzyć o naprawieniu krzywd, jakie im rozbiory wyrządziły. Mowa ta, jak i wszystkie jego odzywiania się tak w Kamieńcu Podolskim jak w Wilnie, nie pozwoliły ludzić się bynajmniej co do jakiegokolwiek znośnego bytu pod jego panowaniem.

Car przesunął przed oczami Polaków ten straszny obraz ucisku, jaki istniał za jego ojca, skreślony na początku rozdziału i pogroził nim, jeżeli Polacy nie wyprą się tego, iż są narodem. Wrażenie mowy cara było fatalne.

Wyrzuciło ono ruch narodowy z kolei jego społecznej i pchnęło od razu na tory polityczne, obudziło bowiem we wszystkich umysłach gorętszych potrzebę zmanifestowania dążności politycznych, bez których niema narodu.

Naród, który nie dąży do ideału politycznego, naród, który niema idei narodowej, narodem nie jest, chociażby mówił odrębnym językiem i posiadał własne obyczaje. Skoro zaś car zaprzeczył Polakom ich idei narodowej, uznał ją za zdożną i nazwał marzeniem niedającym się ziszczyć; skoro nie tylko działać, ale nawet i nadziei mieć nie pozwolił na przyszłość, było naturalnym wnioskiem, iż Polacy nie mogą się niczego od niego spodziewać i że muszą sami sobie wywalczyć warunki politycznego istnienia. Powstała więc myśl walki politycznej, do której zachęcała i ogólna sytuacja Europy, zwłaszcza też podniesienie idei narodowej przez Napoleona III. do znaczenia czynnika politycznego we Włoszech.

W imię idei narodowej działały Włochy,

działały Niemcy, wszędzie dawał się spostrześć ruch, dążący do postawienia państw na gruncie narodowym, nie więc naturalniejszego, że i w Polsce ruch ten objawić się musiał, zwłaszcza, że życie narodowe było już silnie rozbudzone przez reformy społeczne i Towarzystwo rolnicze, silnie zaś zostało podżęgnięte przez prowokującą mowę cara.

Wszystko to razem wzięte przygotowało działanie polityczne Polaków, które się rozpoczęło manifestacją w czerwcu 1860 na pogrzebie generałowej Sowińskiej.

Zjazd monarchów byłego św. przymierza i umowy, jakie miały być zawarte w Warszawie przeciwko Polsce, stały się nową zachętą do agitacji. Przyjęcie, jakiego doznali trzej monarchowie w Warszawie, okazywało już silnie bijący puls narodowy. Manifestacja przed kościołem Karmelitów na Lesznie w rocznicę 29. listopada, wyraziła po raz pierwszy w błagalnej pieśni do Boga o przywrócenie ojczyzny, iż ruch dotąd społeczny zaczął przybierać kształty polityczne.

Stały się one jeszcze wyraźniejsze w lutym podczas walnego zgromadzenia Towarzystwa rolniczego i manifestacji d. 25. i 27. lutego 1861 r. które zakończyły się krwi rozlewem.

Krew była po wszystkie czasy i będzie zawsze nasieniem ruchów narodowych — była niem i w r. 1861.

Tak się przygotował głośny i pamiętny w dziejach naszych ruch 1861 roku, z którego w pierwszym już dniu walki skorzystał margrabia Wielopolski i wysunął się naprzód pomiędzy ludzi działających.

III.

W końcu lutego 1861 r. Warszawa była niezwykle ożywiona. Towarzystwo rolnicze odbywało walne swoje zgromadzenie i rozprawiało nad uwłaszczeniem włościan.

Stronnictwo ruchu, wywołane prowokacyjnem przemówieniem cara i zaprzeczeniem praw polskich, przygotowało manifestację z powodu rocznicy bitwy Grochowskiej.

Wiadomem jest, iż rzeczywistym celem manifestacji było pociągnięcie Towarzystwa rolniczego do zaprotestowania przeciwko uciskowi i zmuszenie go do wystosowania adresu do cara z żądaniem praw politycznych i zupełnej autonomji dla Polski. Te zamiary zaniepokoiły mocno Zamojskiego i obradujących obywateli, łatwo bowiem przypuścić było można, iż tego rodzaju wystąpienie Towarzystwa rolniczego, pociągnęłoby groźne dla niego niebezpieczeństwa i wywołać by mogło jego rozwiązanie.

Muchanów był obecnym na wszystkich posiedzeniach Towarzystwa i pilnie śledził każdy ruch myśli mowców, którzy coraz więcej rozpalał się i podnosili i tak już gorącą atmosferę usposobienia. Zamojski z komitetem czuwał jednak, ażeby nie takiego w czasie obrad nie zaśzło, co by było przekroczeniem zakresu legalnie oznaczonego. Głównym przedmiotem dyskusji było uwłaszczenie włościan. Obradujący pod wpływem

wem mów Tomasza Potockiego, Dyonizego Skarżyńskiego i innych zwolenników szybkiego uwłaszczenia, poszli dalej niż komiet w swoich propozycjach i na wniosek Tomasza Potockiego uchwalili uwłaszczenie a zarazem sposoby jego przeprowadzenia dla włościan dogodne, dotychczasowym dziedzicom nieszkodliwe, w ogóle zaś sprawiedliwe i liberalne. Radość, iż szlachta polska zdobyła się na uchwałę, która miała wynagrodzić krzywdy społeczne włościan, poprawić stosunek dworu do chaty i cały naród społecznie odrodzić, była powszechna i ogromna.

Chwila to była dziejowa i wielkiej doniosłości, która stała się najwyższym zaszczytem dla szlachty polskiej; przypomniawszy bowiem podobne usposobienie szlachty francuskiej przy początkach rewolucji XVIII wieku, gdy szlachta ta dobrowolnie rzuciła na ołtarz ojczyzny swoje przywileje.

Rząd narodowy we dwa lata później wydając w swoim manifestie powstańczym dekret uwłaszczenia, był tylko wykonawcą woli szlachty polskiej, która na tem sławnem posiedzeniu Towarzystwa rolniczego dobrowolnie zrzekła się praw swoich na korzyść włościan.

W chwili, gdy zapadła ta ważna uchwała i obradujący jeszcze się nie rozeszli z sali namiestnikowskiej, nadeszła wiadomość, iż kozacy rozpędzają i tratuja lud pod Zamkiem.

Obecny na posiedzeniu Mikołaj Epstein zawołał: „My tu obradujemy, a tam na ulicach krew się leje!”

Słowa te oddziaływały jak iskra elektryczna na zgromadzonych. W tej chwili wprowadzono do sali jak trup bladego, z czołem krwią oblanem, Józefa Narzyskiego.

Na ten widok zgromadzeni powstali z miejsc swoich w najwyższym oburzeniu; Muchanow zbladł, zatrwożony, widząc zrywającą się burzę; Zamojski jednak nie stracił przytomności i zapobiegając wyrzuceniu z kolei legalnej Towarzystwa rolniczego, posiedzenie zamknął.

Obradujący wycobdząc z sali pałacu namiestnikowskiego zastali już wojsko moskiewskie biwakujące na dziedzińcu. Warszawa cała była wzruszoną; wiadomości o napadzie kozaków i piechoty na lud, postępujący procesjonalnie z Leszna przez ulicę Długą, Freta. Stare Miasto na plac Zamkowy, podawały z ust do ust sceny barbarzyńskiego pastwienia się. Manifestacja została na Starem Mieście i na placu Zamkowym zatrzymana, strатовana przez konie kozackie i rozbita przez piechotę; krzyż został porąbany, kapłani znieważeni.

Oburzenie w mieście w d. 26. lutego przybrało groźne rozmiary. W dniu zaś 27. rząd moskiewski sam wywołał krwi rozlew, rozkazał wojsku postępującemu od Zamku strzelać na ludność, która z powodu pogrzebu, wychodzącego z kościoła Bernardynów, dość licznie była zgromadzoną na Krakowskim przedmieściu. Odgłos strzałów i powtarzana wieść, iż Moskale naszych mordują, zgromadziła w momencie tłumy ludu w miejscu napaści. Strzały padały na nieistniejący dzisiaj dom Malecza, pod kolumnę Matki Boskiej i wązką przestrzeń rozszerzonego obecnie w tym punkcie Krakowskiego przedmieścia. Lud bezbronny nie cofał się przed strzałami i stał gotów ponieść męczeństwo. Padło pięciu trupów a wielkie mnóstwo zostało rannych.

Lud podjął trupy i niosąc je wysoko przechodził z nimi przed frontem wojska, które się

wyciągnęło w dwie linie od Zamku aż do posągu Kopernika.

Groza i uroczystość tego widoku była tak wielką, iż wojsko nawet nią przejęte nie wzbroniło odniesienia czterech trupów do hotelu Europejskiego a piątego do pałacu Andrzeja Zamojskiego. Oficerowie w milczeniu pozdejmowali czapki przed tym pochodem trupów. Ludność Warszawy pod wrażeniem tych wypadków wystąpiła z odwagą, lekceważeniem śmierci i jednomyślnością prawdziwie zadziwiającą. Odezwało się w niej hasło, w natchnieniu w sercach wszystkich zrodzone: „Bronić się nie będziemy, lecz nie odstąpimy od naszych praw i od wymagania zadośćuczynienia za poniesione krzywdy.“

Było to hasło walki moralnej, która w ciągu dwóch następnych lat przybrać miała tak wspaniałe i olbrzymie rozmiary.

Jednocześnie, gdy trupów lud niósł przez Krakowskie przedmieście, starszyzna narodu zgromadziła się w dwóch miejscach na naradę: mieszczenie i kupcy w resursie kupieckiej przy Senatorskiej ulicy, obywatele wiejscy, członkowie Towarzystwa rolniczego, u hr. Andrzeja Zamojskiego. Z jednego i z drugiego miejsca wysłane zostały w nocy deputacje do księcia Gorczakowa, namiestnika carskiego, rezydującego w Zamku. Deputację mieszczańską poprowadził Andrzej Zamojski. Żądał on zadośćuczynienia dla ludu znienacka napadniętego, usunięcia wojsk i zabezpieczenia narodu właściwymi urządzeniami, któreby zrobiły w przyszłości niemożliwem powtórzenie napaści wojska na lud bezbronny. Zamojski dał poznać Gorczakowowi oburzenie, jakim sam był przejęty i jakie panowało w całym mieście, jednakże nic nie wskórał. Namiestnik nie chciał słyszeć o zadośćuczynieniu i o za-

dnych ustępstwach. Po wydaleniu się Zamojskiego z Zamku, przybyła do Gorczakowa deputacja miejska z resursy. W imieniu jej przemawiał Ksawery Szlenker, kupiec warszawski i dyrektor resursy.

„Książę — rzekł do niego Szleaker po francusku — z skrwawionem i boleścią przepełnionem sercem stawia deputacja obywateli miasta przed waszą książecią Mością, by jej wyrazić zgrozę i boleść nad wypadkami dnia dzisiejszego. Krew płynęła niewinnych i spokojnych obywateli; religia obrażona w znieważeniu krzyża świętego i w zelżeniu kapłanów! Lud zraniony w najświętszych swych prawach, niema wiary w rządzie, widzi się zdradzonym. Nie sądź Wasza książęca Mość, że policja, bagnety, żandarmy dzisiaj lud zastraszą. Waszej ks. Mości złe dają rady.“

Śmiało to i pełne godności wystąpienie oddziało silnie na Gorczakowa. Za Szlenkerem przemawiali inni mówcy, zwłaszcza też Kronenberg. Książę zaczął się tłumaczyć z postąpienia wojska i wreszcie pod naleganiem deputacji zezwolił na cofnięcie wojska i policji do koszar, na utworzenie delegacji miejskiej i straży bezpieczeństwa, na uroczyste pogrzebanie pięciu poległych i przyrzekł wreszcie wstawić się u rządu w Petersburgu o wyjednanie koncesji narodowych oraz udzielenie instytucji, któreby Polaków zadowolniły i zabezpieczyły od podobnych wypadków.

Taki był początek owych reform, które dzisiaj zwolennicy polityki panslawistycznej i panegirysci Wielopolskiego przedstawiają jako zdobyte na rządzie przez żądania margrabiego. Lud je zdobył własną krwią swoją

mieszczanstwo śmiałem upomnieniem, wypowiedzianem z godnością o jakiej zapomnieli potomkowie hetmanów, wojewodów i kasztelanów, skłoniło rząd carski do ustępstwa, bez którego Wielopolski nie byłby nigdy wyszedł z zapomnienia, w jakim pozostawał.

Po powrocie deputacji z Zamku i zawiadomieniu Zamojskiego przez Szlenkera i Kronenberga o poczynionych przez Gorczakowa ustępstwach, zaczęto się naradzać nad adresem do cara. Obrady trwały całą noc. Mieszczanstwo zgodziło się na to, ażeby adres napisany został przez obywateli wiejskich, zebranych u Zamojskiego, oznajmiwszy ostatniemu życzenia swoje co do treści adresu. Adres zredagowany został przez E. Stawiskiego, znakomitego obywatela i zarazem historyka stosunków włościańskich w Polsce.

Gdy rozprawiano nad tym adresem, zjawił się u Zamojskiego powszechnie w Polsce szanowany Tomasz Potocki, z którym Wielopolski spokrewniony był przez swoją żonę. Wspomnieliśmy już o Potockim Tomaszu z powodu udziału, jaki wziął w uchwale uwłaszczającej włościan na posiedzeniu Towarzystwa rolniczego. Była to jedna z najszlachetniejszych postaci, jaką wówczas posiadało Królestwo polskie. Oficer z 1831 r. wyniósł z sławnej tej kampanii ciężkie blizny, które odjęły mu władzę w nogach i sprawiły, iż na posiedzenia Towarzystwa rolniczego przynoszono go w fotelu. Słodką, jedyną a treściwą swoją mową ożywiał on posiedzenia Towarzystwa i porywał za sobą umysły. Znakomity znawca stosunków włościańskich, znany jest w literaturze naszej z najlepszych

dział o tych stosunkach, które wydał pod nazwiskiem Krysztopora.

Wielopolski przybył z Chrobrza podczas posiedzeń Towarzystwa rolniczego do Warszawy, usiłując pod zastoną wielce popularnego w kraju Potockiego, wziąć udział w ówczesnych wypadkach. Napisał adres do cara i z tym to adresem przybył Tomasz Potocki do Andrzeja Zamojskiego podczas obrad nad projektem adresowym Stawiskiego.

Adres Wielopolskiego został odczytany i po długiej dyskusji odrzuconym. Powody, dla których odrzucono jego adres, były następujące: Wielopolski odwołał się do traktatu wiedeńskiego i na nim oparł prawo narodu do upomnienia się u rządu moskiewskiego o narodowe koncesje, wyraził przytem żal Polaków z powodu powstania 1831 r., cechując to powstanie jako zdróżne wykroczenie przeciwko obowiązującemu porządkowi.

Zgromadzeni uznali, iż powołanie się na traktat wiedeński, który ostatecznie był międzynarodowym potwierdzeniem rozbioru Polski, nie może służyć za podstawę do upomnienia się o zgwałcone prawa narodowe. Zresztą kongres wiedeński nadał tylko Królestwu Polskiemu autonomję i konstytucję, o innych prowincjach Polski, mianowicie o Litwie, Wołyniu, Podolu, Ukrainie nic nie wspominał. Wyrzeczenie się powstania 1831 r. które właśnie było walką o prawa narodowe całej Polski, byłoby zrzeczeniem się tych praw i ubliżeniem w najwyższym stopniu godności narodowej.

Trudno zaprzeczyć słuszności powodów, dla których adres Wielopolskiego został odrzucony. Nieposzanowanie narodowego prawa, lekceważenie godności narodowej, wypieranie się czynów,

które acz nie były uwieńczone pomyślnym skutkiem, stały się przecież sławą narodu, utrzymały w nim ducha i niedozwoliły pójść w przedawnienie prawu narodowemu, cechowało i tę najnowszą czynność Wielopolskiego.

Przyjęto adres Stawiskiego, w którym nie było wzmianki o traktacie wiedeńskim, o roku 1831, lecz za punkt wyjścia obrano w nim wypadki zaszłe w Warszawie i stan wzburzenia umysłów, który po nich nastąpił.

„Wypadki te — powiada adres — nie są wybuchem jakiejś pojedynczej warstwy narodu, są one jednomyślnym gorącym objawem tłumionych uczuć i niezaspokojonych potrzeb. Długoletnie cierpienia narodu, od wielu wieków wolnemi instytucjami rządzącego się, pozbawienie go nawet wszelkiego organu legalnego, za pomocą którego mógłby bezpośrednio przemawiać do tronu, i objawiać swoje życzenia i potrzeby, postawiły kraj w tem położeniu, że ofiarami tylko może głos podnieść, dlatego też poświęca ofiary. W duszy każdego mieszkańca tego kraju bije silne poczucie odrębnej wśród ludów europejskich narodowości. Poczucia tego ani czas, ani wpływ rozlicznych wypadków zniszczyć, ani nawet osłabić nie zdołał. Wszystko, co je obraża i nadwiera, do głębi wstrząsa i niepokoi umysły. Widzi kraj z boleścią, że gdy potrzeba ta nie została zaspokojoną, powstał ztąd brak zaufania nieodzownego w stosunkach pomiędzy rządzącymi a rządzonymi. Zaufanie to nie wróci, póki użycie gwałtownych a bezskutecznych środków represyjnych nie ustanie. Kraj ten, równający się niegdyś stopniem cywilizacji z innemi krajami Europy, nie przyjdzie do rozwinięcia swych moralnych i materialnych zasobów tak długo, dopóki zasady, płynące z ducha narodu, jego

tradycji i historii, nie będą przeprowadzone w kościele, w prawodawstwie, w wychowaniu publicznem, zgola w całym społecznym organizmie. Życzenia tego kraju tem są gorętsze, że w rodzinie ludów europejskich on tylko już jeden pozbawiony jest tych koniecznych warunków bytu, bez których żadna społeczność dojść nie może do poznania celów, dla których ją Opatrzność do życia powołała."

Adres ten, który nic nie przesądzał i określonych żądań nie stawiał, najlepiej odpowiadał ówczesnej sytuacji. Nie obrażał on ani prawa, ani uczuć narodu, nie ubliżał też autokratycznej władzy, bo nie stawiał jej wyraźnych żądań. Wskazawszy stanowczo potrzebę reform narodowych, ilość i rodzaj tych reform pozostawił carowi, który tym sposobem nie postawiony pod przymusem, mógł je tem łatwiej udzielić, iż udzielenie ich miałooby charakter postanowienia własnej woli. Jakoż nie ulega wątpliwości, iż adres ten wiele się także przyczynił do pozyskania reform, które dzisiaj błędnie mianem Wielopolskiego ochrzczono

Adres został wręczony przez Zamojskiego Gorczakowi, który go przyjął i do Petersburga odesłał.

Dnia 28. lutego i 1. marca publiczność tłumnie kładła podpisy na adresie. Czytano go na ulicach i placach ludowi, który się przystroił w żałobę, jako wyraz uczuć smutku i żalu, jakim go napełniły gwałty i zabójstwa moskiewskie. Miasto wyglądało uroczyście i zdawało się być oswobodzonym, policja bowiem i wojsko nie pokazywało się na ulicach. Delegacja miejska rządziła miastem a straż bezpieczeństwa z tysiąca obywateli złożona, zorganizowana w ciągu jednej nocy, pilnowała porządku i bezpieczeństwa osób.

Pogrzeb pięciu ofiar odbył się 2. marca. „Była to manifestacja, jak powiada J. I. Kraszewski, „pełna niezmównanego majestatu.“ Lud, którego znalezienie się bohaterskie sprawiło, iż słabość odniosła zwycięztwo nad potęgą, iż duch zatriumfował nad brutalną siłą, czuł godność swoją i zachowywał się z bezprzykładną powagą. Chrześcianie i żydzi podali sobie ręce zgody i pokoju, szlachta i mieszczenie zbratali się; wszystkie stany bez różnicy majątku i wyznania złączone zostały świętością męczeństwa, przed którą wróg ustąpił, w naród, jednym braterskim duchem ożywiony.

Gdy to się dzieje w Warszawie, Wielopolski, pełen gniewu za to, iż adres jego został odrzucony, wyjechał ze stolicy i powrócił do Chrobrza, ażeby tam doczekać się chwili więcej sprzyjającej dla swoich zamiarów.

IV.

Delegacja miejska i straż bezpieczeństwa ustanowiona była tylko na czas krótki i według woli Gorczakowa rozwiązana być miała zaraz po pogrzebie t. j. dnia 2. marca. Gorczaków obawiał się zaburzeń, jakoż stan umysłów był tak rozgorączkowany, pogarda i nienawiść do rządu moskiewskiego i zarazem zgroza z powodu dokonanych mordów były tak ogólne, iż nie tylko młodzież, mieszczenie i lud cały, ale nawet osoby, zajmujące wysokie stanowiska w społeczeństwie i do rządu zbliżone, wyraziły temuż rządowi w sposób wcale nie dwuznaczny swoje oburzenie.

Marszałkowie szlachty podali się do dymisji, prezes Heroldji, hr. Kossakowski, Łuszczewski, ojciec Deotymy a dyrektor wydziału przemysłu w Komisji spraw wewnętrznych i Piotr Kobylański, pomocnik prokuratora Ogólnego zebrania Senatu podali się także do dymisji, nie chcąc służyć pod rządem, krwią bezbronných splamionym. Oburzenie to usprawiedliwiała zupełnie obawy Gorczakowa o prawdopodobne zakłócenie spokoju. Wyczekiwał on rewolucji i dla uniknięcia jej porobił wspomniane już ustępstwa, usunął wojsko i policję, a utrzymanie porządku i pokoju zdał na Delegację i straż bezpieczeństwa.

Delegacja starała się wszelkimi sposobami o zachowanie pokoju. Było to zadanie nie łatwe,

zwłaszcza, iż dało się spostrzedz działanie prowokatorów, którzy ludowi rozdawali i podrzucali broń. Charakterystycznym pozostanie ten fakt, iż pomiędzy prowokatorami nie było ludzi w Warszawie znanych. Niewiadomem było, z kąd się oni zjawili; kilku przez straż bezpieczeństwa schwytanych, słusznie byli podejrzewani, iż zostali wysłanymi przez policję pruską.

Pomimo jednak działania tajemnego, które od razu usiłowało ruch narodowy Polaków zamienić na zbrojne wystąpienie, głos Delegacji i wszystkich mężów, zaufanie publiczne posiadających, sprawił, iż spokój pomimo wrżenia ogólnego został utrzymany, zachowanie się zaś Warszawian w czasie pogrzebu, powagą swoją zaimponowało Gorczakowi i wyrodziło w nim przekonanie o rzeczywistym wpływie i władzy moralnej ówczesnych przewodników narodu.

Z przekonania tego starali się skorzystać wspomniani przewodnicy i nakłaniali Gorczakowa do dalszych ustępstw. Szło mianowicie o to, ażeby w dniu 27. pod grozą wypadków na Krakowskiem przedmieściu zorganizowana Delegacja wraz z strażą bezpieczeństwa, mogła i nadal zachować w swoim ręku władzę. Gorczaków zrazu opierał się naleganiom, w końcu jednak widząc, iż umysły bynajmniej się nie uspokoiły, prawdopodobieństwo zaś nowego krwawego starcia było ciągle rzeczywistem, ustąpił i powierzył nadal utrzymanie spokoju i porządku Delegacji oraz straży obywatelskiej. Delegacja powiększona do liczby 24 członków zaczęła więc na nowo funkcjonować, otrzymawszy dnia 5. marca urzędową sankcję. Wsparta na licznej i dzielnej straży obywatelskiej, wspierana przez Andrzeja Zamojskiego i komitet Towarzystwa rolniczego, ośwładnęła zupełnie ruchem narodowym i prowadziła go w sposób bardzo rozumny.

W okólniku tym mieściło się upoważnienie włóścian do aresztowań wicherzycieli, pod mianem których rozumiał Muchanow obywateli wiejskich i wszystkich patryjotów.

Wyraźny cel tego okólnika, pokłócenie włóścian ze szlachtą i wywołanie wojny społecznej, ażeby jej falą zalać można było ruch narodowy, spowodował tak groźne oburzenie, iż wobec niego uczuł się rząd zniewolonym do poświęcenia najwierniejszego swojego sługi. Muchanow przy odgłosach kocięj muzyki, znieważony przez tłumy, wygnanym został z Warszawy. Miejsce jego zajął generał Gecewicz, Polak, oddany rządowi ale bez nienawiści do naszego narodu, jaką się odznaczał jego poprzednik.

Z upadkiem Muchanowa runęła główna przeszkoda reform i odtąd stało się pewnem, iż takowe zostaną nadane.

Jeszcze dnia 2. marca wezwany został do Petersburga przez cara Karnicki, sekretarz stanu, dla zdania sprawy z wypadków zaszłych i udzielania rady co do reform, mających się nadać Królestwu polskiemu. Powołanie to Karnickiego było niezmiernie ważne, od jego bowiem rad i projektów zależała rozległość i znaczenie nadać się mających reform. System rządu Mikołajowskiego zupełnie się zużył i nie można było tego zataić przed carem, zwłaszcza, iż pod naciskiem agitacji narodowej, okazał się on niewystarczającym i bezsilnym. Znaleźli się wprawdzie ludzie przy boku cara, jak Płatonow, którzy bronili tego systemu, lecz i oni uznali iż należy czemśkolwiek zaspokoić słuszne żądania narodu. Powołano więc do zaprojektowania reform oprócz Karnickiego i Płatonowa, jeszcze Tymowskiego i Enocha, który wywierał pod owe czasy największy wpływ na Gorczakowa.

Skutkiem porozumienia się tych panów był memoriał Karnickiego do cara, w którym zaprojektowano zaprowadzenie reform, przypisywanych dzisiaj niesłusznie Wielopolskiemu.

Karnicki nie konstytucję z 1815 r., lecz statut organiczny wydany przez Mikołaja po powstaniu 1831 r. i po zniesieniu konstytucji, a nigdy w życie nie wprowadzony, obrał za punkt wyjścia w projektowanych reformach. Reformy te ograniczały się do wzmocnienia administracji rządowej działalnością wybieralnych korporacji, w skutek czego miały być utworzone Rady powiatowe, Rady miejskie, miała być wznowiona Rada stanu z atrybucją prawodawczą t. j. projektowania praw, uznanych za konieczne i przedstawiania ich carowi. Zgromadzenie stanów prowincjonalnych, zapewnione statutem organicznym, nie było objęte owymi reformami.

Karnicki w swoim memoriale pisał: „Nie ma nawet potrzeby, przynajmniej w obecnym czasie, zaprowadzać Zgromadzenia stanów prowincjonalnych, statutem zapewnionych; ustanowienie ich możnaby czasowi zostawić, a nawet zupełnie je ze statutu wyłączyć. Jeden tylko przykład Austrii — mówi dalej memoriał Karnickiego — mógłby w tym kierunku pobudzić do pewnych nadziei, ale można z pewnością wyrzec, że nadziei tych nie żywi ogół, lecz tylko szczególne indywidua.“

Pewność, o której wspomina Karnicki, była zupełnie mylną, nie szczególne bowiem indywidua, ale cały ogół narodu szedł dalej niż żądanie stanów prowincjonalnych, żądał mianowicie przywrócenia konstytucji, wojska polskiego i pełnej autonomii Królestwa polskiego oraz zasto-

sowania niektórych przynajmniej reform narodowych do Litwy, Podola, Wołynia i Ukrainy. Że takie były żądania, nie ulega to żadnej wątpliwości, można je bowiem było słyszeć we wszystkich zgromadzeniach, które się wtedy bardzo często odbywały, odezwa zaś pracowników „twardego rzemiosła” wyraziła je w sposób sobie właściwy a bardzo dobitny. Jeżeli więc Karnicki zapewniał, iż żądania Polaków są o wiele skromniejsze, pochodziło to ztąd, iż znając uporczywość rządu moskiewskiego i brak wszelkiej w nim skłonności do reform, którą podtrzymywał rząd pruski, wiedział, iż na daleko sięgające reformy, obejmujące przywrócenie stanu z przed 1830 roku, nigdy się nie zgodzi; wolał więc uzyskać jakiegokolwiek ustępstwa i ulepszenia niż żadne.

W dalszym ciągu memoriału zapewniał Karnicki „iż połączenie we władzach działalności urzędników z działalnością wybieralnych osób zaspokoi wszystkich dobrze myślących ludzi i stanie się nowem ogniwem, łączącym panującego z krajem.” Proponował dalej reformę wychowania publicznego w duchu narodowym i przywrócenie Komisji oświecenia i wyznań religijnych. W końcu memoriału oświadczył się Karnicki za potrzebą, „energicznego wykorzenienia wszelkich manifestacyj, mających charakter rewolucyjny, przy starannem unikaniu wszystkiego, co pogwałca uczucie religii i narodowości” i zarazem za potrzebą wykonania w dobrej wierze przedsięwziętych reform z powodu, „że kraj przeniknięty jest głęboko uczuciem legalności i ma silne poczucie położonego w nim zaufania.”

Otóż w tym to memoriale Karnickiego znajdujemy projekt szeroko nakreślony wszystkich tych reform, które jako zdobycz Wielopolskiego

są podawane. Wielopolski nie był nawet o radę zapytywany, i nic o nich nie wiedział w chwili, gdy były przez cara przyjęte i nadane. Jeżeli dzisiaj panegirysci jego usiłują wbrew faktom, dla sympatyczniejszego odmalowania jego postaci, przedstawić go jako tego, który otworzył pole do narodowego odrodzenia, i który rozumem, taktem i żądaniem swoim zdobył na rządzie moskiewskim konieczne warunki tego odrodzenia, czynią to jedynie dla partyjnych widoków i dla pozyskania zwolenników polityki ufania Moskwie, i złączenia losów Polski z losami caratu.

Pierwsza wiadomość o reformach nadeszła do Warszawy d. 13. marca 1861 r. Gorczaków wezwał tego dnia do Zamku członków Delegacji miejskiej, Ksawerego Szlenkera i Leopolda Kronenberga; członków rolniczego komitetu, Andrzeja Zamojskiego i Władysława Małachowskiego, oraz arcybiskupa Fijałkowskiego, wspomniawszy im o tych reformach i przeczytał im odpowiedź cara na adres, napisaną w tonie wyniosłym, która nikt nie zadowolniła i wzmogła ogólne wzburzenie.

Dnia 23. marca zniesiono Delegację, a raczej zmieniono tylko jej nazwę na „Wydział tymczasowy obywatelski miasta Warszawy”; dnia zaś 27. marca ogłoszono urzędownie określone przez nas wyżej reformy, przyczem dowiedziano się, iż okręg naukowy warszawski został zniesiony, na jego zaś miejsce przywróconą Komisja wyznań i oświecenia, a głównym dyrektorem tej Komisji zamianowanym został margrabia Wielopolski.

Zostawiliśmy Wielopolskiego w niezadowoleniu i gniewie opuszczającego Warszawę po odrzuceniu jego adresu. Margrabia powrócił do Chrobrza i trzymał się zdala od wypadków, których widownią była Warszawa. Gdy już wiado-

mem było, iż rząd moskiewski zdecydował się na udzielenie Królestwu Polskiemu reform, prze-myśliwać zaczęto w Zamku nad wyborem osoby Polaka, któryby owe reformy przeprowadził, manifestacje powstrzymał, a do tej czynności posiadał potrzebne zaufanie i odpowiednie zdolności.

Przed innymi nasunęła się Gorczakowi na myśl osoba Andrzeja Zamojskiego. Gdy jednak Zamojski okazał się człowiekiem zanadto niepodległego dla rządu charakteru, a przytem żądał gwarancji, iż reformy będą szczerze na rzeczywisty pożytek narodu przeprowadzone, postanowiono zostawić pana Andrzeja na boku a szukać powolniejszych i więcej zgodnych z polityką rządu carskiego osób. Zwrócono się następnie do kilku innych znakomitych, a dzisiaj jeszcze żyjących obywateli. Ci jednak wszyscy biorąc sobie za wzór Zamojskiego, żądali jak i on szczerości i zarazem rozszerzenia reform. Gorczaków był więc w prawdziwym kłopotcie, kogo miał powołać na owego urzędowego pośrednika pomiędzy rządem a narodem, któryby wziął na siebie trudny obowiązek poskromienia narodu, zadowolenia go i zadośćuczynienia tajnym widokom polityki carskiej.

W czasie tych poszukiwań Wielopolski niespodziewanie przyjechał po raz drugi do Warszawy i przedstawił się Paniutynowi, następnie Enochowi, o którego wpływowej i decydującej roli przy Gorczakowie nadmieniliśmy. Enoch zaprowadził Wielopolskiego do Zamku i przedstawił Gorczakowi jako jedynie zdolnego i odpowiedniego do przeprowadzenia reform w żądanych przez rząd warunkach polskiego obywatela. Gorczaków na podstawie tej rekomendacji zaprojektował w Petersburgu nominację Wielopolskiego na dyrektora Komisji wyznań i oświecenia, że zaś

i król pruski, który znał osobiście Wielopolskiego, pisał do Petersburga, zalecając carowi margrabiego jako męża godnego zaufania, car nie zawahał się w podpisaniu nominacji.

Nadmienić przytem musimy, iż gabinet berliński na pierwszą wiadomość o zamierzonych w Petersburgu reformach dla Królestwa polskiego, pospieszył z radą, ażeby reformy te były wymierzone w najszczuplejszym zakresie i tym sposobem przyczynił się wielce do tego, iż wypadły one w sposób niewystarczający i pozbawione zostały wszelkiego politycznego charakteru.

Wielopolski, którego także rząd pruski, tak nieprzyjaźny Polsce, zalecał, okazał się tem więcej carowi godnym zaufania. Urzędowanie swoje objął margrabia d. 27. marca 1861 roku. W jaki zaś sposób przeprowadzał reformy, dowiemy się z opisu dalszych jego czynności.

V.

Wielopolski po objęciu swojego urzędowania wystąpił na pierwszy plan rządu. Jakkolwiek był tylko dyrektorem, czyli ministrem komisji wyznań i oświecenia, oraz członkiem Rady administracyjnej, zastąpił przecież potężną swoją postacią osobę namiestnika i przedstawił się na zewnątrz jako główny kierownik rządu.

Margrabia, znawca historii własnego narodu, który nigdy nie mógł dojść do silnego rządu, nabył tego przekonania, iż Polacy upadli głównie z tego powodu, iż posiadali rząd ograniczony, który nie miał dostatecznej władzy, do rządzenia i ratowania narodu. Wyobrażenia historyków ze szkoły monarchicznej, którzy w dziełach swoich przedstawiali potrzebę rządu silnego jako środek ocalenia, zbyteczną zaś wolność jako zgubę narodu, były jego wyobrażeniami. Nie da się zaprzeczyć pewnej słuszności, jakkolwiek względnej, tych przekonań, usiłowania zaś ażeby wytworzyć pomiędzy Polakami zdolność państwowego bytu, której głównym warunkiem bywa zawsze karność i posłuszeństwo prawem określone, jakie winien każdy obywatel własnemu swojemu rządowi, zaopatrzonemu w potrzebne atrybucje do energicznego wykonywania swej władzy, były zawsze i będą po wszystkie czasy usiłowaniami dobrze zrozumianego patriotyzmu. Przekonania więc margrabiego, które go doprowadziły do starania o silny rząd w Polsce, nie

byłyby nagannymi, gdyby Wielopolski umiał być zrobić różnicę pomiędzy rządem polskim a rządem moskiewskim.

Pomyłka polegała na tem, iż margrabia widząc się powołanym na członka rządu moskiewskiego w Polsce, wyobraził sobie, iż rząd ten przez udział jego osoby stał się polskim. W rzeczy zaś samej udział jego w rządzie był zaledwo tolerowanym przez cara, był uważanym przez wszystkich Moskali jako złe konieczne, które należało dopuścić jedynie ze względu na groźne fale narodowego ruchu i w celu poskromienia tego ruchu. Na czynności margrabiego patrzano czujnem i podejrzliwem okiem i wyglądano chwili usunięcia jego za lada pozorem. Wobec tej nieufności z góry, położenie jego stało się rzeczywiście trudnem, musiał bowiem unikać wszystkiego, coby go w Petersburgu przedstawiać mogło jako rzeczywistego patriotę, oddanego szczerze a nie obłudnie dobru swojego kraju. Z drugiej zaś strony stał naród silnie przywiązany do swoich praw i do swojej narodowości, z jasno wytkniętym celem swojego ruchu, patrzący również czujnem i podejrzliwem okiem na czynności margrabiego, gotów wyprzeć się go i odebrać mu swoje zaufanie przy pierwszym posłepku, któryby zrodził w nim przekonanie, iż margrabia więcej dba o interesa rządu moskiewskiego, niż o interesa swojego narodu.

Położenie było tego rodzaju, iż na którąkolwiek stronę margrabia się przechylił, utraciłby podstawę a z nią i możność działania. Prawdziwy mąż stanu, postawiony w tak trudnych warunkach, byłby wybrał drogę pośrednią, jedynie rozsądną, okolicznościami samemu wskazaną i byłby postępowaniem swoim starał się o ufność jednej i drugiej strony, tj. nie czyniłby nic takiego, coby obudziło podejrzenia w Peters-

burgu, ale też unikałby wszystkiego, coby uczucia i przekonania narodu obrażać mogło.

Usiłując wytworzyć sobie zaufanie tak cara jak osób, które go otaczały, margrabia przedewszystkiem starać się był powinien szukać dla siebie oparcia w narodzie, jeżeli nie na całym ogóle, to przynajmniej na jednym z jego stronnictw. Wsparty współdziałaniem narodu, margrabia powinien był dalej rolę swoją pacyfikatora zrozumieć w ten sposób, jak ją rozumiała Delegacja miejska i Andrzej Zamojski, po których wziął w swoje ręce ster narodowej nawy. Rola ta nakazywała mu nie niszczyć, lecz miarkować i regulować ruch w ten sposób, ażeby z niego w razie potrzeby czynić presję na rząd moskiewski, któraby rozszerzała zakres poczynionych ustępstw i wykazywała ustawiczną potrzebę jego osoby w rządzie. Tym sposobem byłby margrabia zabezpieczył się od intryg działających w Petersburgu, utrwaliłby swoje rządy i otworzyłby sobie możliwość wykonania reform przy pomocy samegoż narodu, stopniowo i z wolna doprowadzanego do zupełnego spokoju.

Wielopolski atoli napojony doktrynami historyków wspomnianej już szkoły, mniemał, iż naród polski nie przestał być anarchicznym, że jako taki nie posiada zdolności politycznych, któreby czyniły jego współdziałanie pożądanem, postanowił więc nie dbać o to współdziałanie i rządzić tą siłą, jaką mu nadawała własna energia i zaufanie cara, pozyskane zajęciem wręcz nieprzyjaznego narodowi stanowiska. Przechylenie się to na jedną stronę, zidentyfikowało go w oczach polskich z rządem moskiewskim; usiłowanie zaś które jako cel główny położył, wzmocnienia rządu, przedstawiało się jako usiłowanie drożne wzmocnienia tej właśnie władzy, na której słabości głównie Polakom zależało, bo w jej tylko

warunkach była możliwość zabezpieczenia narodowości. Rząd silny moskiewski gniótł zawsze i uciskał Polaków; więc też Polacy starali się zawsze podkopać jego gniotącą siłę. Gdy wreszcie przez niespodziewanie pomyślny obrót wypadków i ruch rozumnie skierowany, udało się im ten rząd doprowadzić do rzeczywistej słabości i rozprężenia, nagle margrabia stanął na drodze z całą olbrzymią swoją energią i rozumem, jako ten, który temu nienawistnemu rządowi przywracał moc utraconą, nie pozyskawszy ze strony tegoż rządu żadnej gwarancji, ani dla swojej władzy ani dla narodu.

Wszystko było tu błędem, który już wówczas, po pierwszych krokach margrabiego, przedstawił się jasno wszystkim dotychczasowym przewodnikom narodu. Widzieli oni już jasno wtedy, iż margrabia takim pojęciem swojej roli skazał siebie na upadek a z sobą i naród cały. Czynili też wszystko, ażeby go objaśnić o niewłaściwości obranego stanowiska i powstrzymać go na drodze drażnienia narodu. Rady te jednak Wielopolski, zadufany w swój rozum a pyszny, z pogardą odtrącał i poszedł fatalną koleją.

Delegacja miejska została rozwiązana a z nią utraconą została siła, której Wielopolski mógłby użyć jako tłumacza swoich planów i hamulec na agitację. Przez rozwiązanie Delegacji naród wzburzony postawiony został oko w oko z policją, przyzwyczajoną do represji i prześladowania, które w ówczesnem położeniu zamieniało się na ciągłą prowokację.

Delegacja i straż obywatelska rozwiązując się, na ostatniej swojej naradzie postanowiła czynić wszystko, co tylko było można, ażeby ruch narodowy utrzymać w korbach umiarkowania i przyjąć nadane reformy, nie kwitując, jak

się wyraził Mathias Rosen, z żądania dalszych ustępstw. Usiłowanom prywatnie czynionym udało się w samej rzeczy zmiarkować ruch narodowy, jakoż jego objawy z dniem każdym stawały się mniej namiętne.

Wielopolski nie spostrzegł jednak uspokojenia, jakie nastąpiło i z całą siłą wziął się do poskramiania ruchu, przemawiając w sposób wyniosły, obrażający a więc drażniący, do korporacji, które się mu przedstawiały.

Przyjmując dnia 2. kwietnia duchowieństwo łacińskie i unickie, przemówił w sposób szorstki. Zapowiedział, iż „jako członek rządu najjaśniejszego pana, nigdzie o ile to w nim będzie, a tem bardziej w swoim zakresie, rządów żadnych w rządzie nie uzna. Z pod ustaw postanowionych — mówił dalej — nikomu samowolnie wyłamywać się nie dam, wszakże chętnem słuchać będę uchem zażaleń na ścieśnienia“. Słowa te zwrócone były do autonomji, jaką się wszędzie rządzi kościół katolicki. Postanowienia, pod które nagiął duchowieństwo, były to postanowienia rządu carskiego, tak dalece ścieśniające kościół katolicki, iż stał się zupełnym niewolnikiem.

Wobec takiego oświadczenia straciły wagę słowa jego, iż kościołowi rzymsko-katolickiemu należy się od niego szczególna względność jako jego i ojców jego religii, zwłaszcza, iż także zapowiedział, „że życzliwość swoją potrafi utrzymać na wodzy“. Przyobiecanie tolerancji „jako jednego z wielkich nabytków wieku“ powinno było margrabiego skłonić do zostawienia kościołowi rządów samego siebie, tem bardziej, iż rządy te są wiekową właściwością kościoła, od której on nigdy nie odstąpił i nie odstąpi, chociaż je zawsze umiał i umie godzić z prawami

i postanowieniami, obowiązującymi w każdym państwie.

Mowa Wielopolskiego była zapowiedzią wojny z kościołem w imię państwa, podobnej wojny, jaką dzisiaj prowadzi Bismark w imię tegoż samego hasła. Ponieważ zaś w tym razie państwo, dla którego rządów margrabia obiecał nie znosić rządów kościoła, było państwem moskiewskiem, schizmatyckiem, a więc dla Polaków obcem, nie dziwnego, iż mowa ta dotknęła bardzo przykro Polaków, obraziła w najwyższym stopniu duchowieństwo i odrzuciła je na za zawsze od margrabiego.

Duchowieństwo pospieszyło z odpowiedzią, w której wyraziło, iż wszyscy kapłani katolicycy w Polsce uważają mowę margrabiego, jako groźbę niczem nie wywołaną, jako zniewagę niesłusznie sobie wyrządzoną i poczytują sobie za konieczny i święty obowiązek zaprotestować głośno przeciwko wszystkiemu, co w niej jest nie uznaniem stosunków krajowych, obraża jego sumie nie i poniża jego godność. „Najprzód, powiada dalej wspomniana odpowiedź, cały charakter tej mowy odznacza się niezwykłą surowością, tonem stanowczym i rozkazującym, do którego nie przywykliśmy dotąd, na który nie zasłużyliśmy wcale i którego w przemówieniu jego do innych wyznań w kraju nie znajdujemy wcale. Dalej treść jej wyrzuca nam jakieś wyłamywanie się z pod ustaw ustanowionych, naprowadza na domysł jakichś niesnasek i nieporozumień między nami a rządem, który poprzedził pana dyrektora i takowe groźnie potępia. Tak, panie dyrektorze, ale to wyłamywanie się z pod ustaw postanowionych, to była ciężka i bolesna praca nad zniweczeniem nieszczęsnych skutków wydawanych przepisów, mających na celu demoralizację i znikczemnienie naszego narodu, a których śla-

dy znajdziesz pan dyrektor w archiwach rządowych. Te nieporozumienia i niesnaski, to była trzydziestoletnia krwawa walka z przemocą i usiłowaniami potęgi fizycznej, chcącej pozbawić kraj nasz świętej wiary naszej i narodowości, aby go zlać w jedną całość z narodem, obcym nam religią i przeszłością, oświatą i uczuciem. Podobne zajścia są dla nas źródłem chluby, szlachetnej dumy, a zarazem zachętą do wytrwania na podobnie zagrożonem stanowisku. W dalszym ciągu zwracając się duchowieństwo do ustępu mowy Wielopolskiego, „iż nie zniesie rządów w rządzie,” wyraża się w swej odpowiedzi: „Czyżby to miało znaczyć, że pan dyrektor jesteś nieprzyjacielem tych szczątków samodzielnosci naszej, która broni kraj nasz od zupełnej zagłady, która jedynie stawia nas w możności podjęcia i prowadzenia tej ustawicznej walki przeciw wszelkim zamachom na religję i narodowość naszą, że pan dyrektor wypełniając widoki rządu, chciałbyś zamienić duchowną naszą zwierzchność w urzędników swojej kancelarii, a nas w ślepe narzędzia, uległe wszechwładnej woli rządu w jakimkolwiek bądź kierunku? Panie dyrektorze, człowiek, który przed panem zajmował dzisiejsze jego stanowisko (Muchanow), miał względem nas te same zamiary, ale brakowało mu odwagi do głośnego ich objawienia wobec całego kraju, wobec całego ucywilizowanego świata.” W końcu mówi odezwa ta, podpisana przez arcybiskupa i wszystkich dostojników kościelnych, co następuje: „Na tej drodze spotkasz panie dyrektorze równą walkę, równą chęć wyłamywania się z pod ustaw postanowionych, jak jego poprzednik. Z jednej strony pan, panie dyrektorze, jako potomek starożytnej rodziny polskiej, jako katolik i Polak, staniesz w obronie zamiarów rządowej centralizacji, tak

błogie wydającej dziś owoce w ościennem państwie; z drugiej strony całe duchowieństwo polskie stanie w imię Boże do dawnej wytrwałej, choć niemej i przemocą tłumionej walki w obronie wiary, sumienia, praw i wolności naszego narodu. Zwycięstwo w rękach Boga. Jego miłosierdziu ufamy z pokorą!”

Odpowiedź ta, pełna prawdy, godności i przestrogi dla margrabiego, oburzyła go tylko i uczyniła jeszcze zaciętszym nieprzyjacielem swobody kościoła. Duchowieństwo, w któremby znalazł potężnego stronnika w działaniu swoim, stanowczo zwróciło się przeciwko niemu i stało się czynnikiem ruchu. Prowadził on z niem walkę w imię państwa, walkę, która jak to już powiedzieliśmy, podobną jest do owej kulturowej walki w Niemczech, tak słusznie potępianej przez wszystkich ludzi prawego serca i przyjaciół wolności prawdziwej, a z taką wytrwałością prowadzonej ze strony duchowieństwa. Dziwnem też i niewytłumaczonem jest dla nas wystąpienie dzisiejsze organów ultramontańskiej partji, która tę walkę rządu popiera stając w obronie Wielopolskiego.

Czas, Kurier poznański, Przegląd polski i lwowski i wszystkie inne pisma, redagowane w duchu ultramontańskim, chwalać Wielopolskiego a potępiając naród za to, iż go nie zrozumiał i woli się jego nie poddać, powinnyby, jeżeli się nie chcą narazić na zarzut niekonsekwencji, chwalić i naśladowcę jego, Bismarka, za to, iż nie chce znieść rządów w rządzie i nagina kościół do ustaw postanowionych.

VI.

Wspomnieliśmy, iż przemówienia Wielopolskiego do deputacji duchowieństwa niekatolickiego były wypowiedziane w tonie zupełnie łagodnym, co tem bardziej dziwiło, iż przemowa jego do duchowieństwa katolickiego była bardzo surową.

Przemowa jego dnia 4. kwietnia do rabinów i deputacji żydowskiej z Pinczowa wyraziła uznanie dla żydów i przyobiecowała im szczególną opiekę. Uściskawszy rękę nadrabina Meiselsa, bardzo popularnego i znanego z uczuć swoich polskich starca, który brał czynny udział w manifestacjach narodowych i pociągnął wszystkich żydów w kierunku polskim, dziękował za okazaną mu ufność i oświadczył, iż podziela ich dążenia do usunięcia na drodze ściśle legalnej wszystkich wyłączeń, jakim poddani byli żydzi. Oznajmił, iż jest zwolennikiem zdrowej tolerancji i zarazem prawodawstwa cywilnego, które od pół wieku spaja naszą narodowość z europejską cywilizacją. Duchowi tego prawodawstwa obce są ustawy wyjątkowe i wszelkie wyłączenia przed prawem cywilnem, obiecał więc działać w kierunku przeciwnym tym wyłączeniom, a więc starać się o przeprowadzenie równouprawnienia żydów.

Należy tu nadmienić, iż oświadczenie to Wielopolskiego było uczynione w duchu zasad, które kierowały ruchem narodowym wobec ży-

dów. Żydzi warszawscy w pierwszej manifestacji wzięli udział, nadstawiali piersi na kule moskiewskie razem z chrześcianami, w przemówieniach po synagogach i w odezwach drukowanych głosili, iż jako obywatele Polski chcą podzielać złe i dobre losy narodu, i jakkolwiek są moższowego wyznania, uznają się i czują Polakami. Chrześcianie z szczerą chęcią przyjęli oświadczenia żydów i nastąpiło zupełne zbratanie i faktyczne przeprowadzenie równouprawnienia. Delegacja miejska bardzo czynnie pracowała nad zjednoczeniem żydów z resztą narodu, zniósła wszelkie ich wyłączenia tak w cechach rzemieślniczych jako też w zgromadzeniach kupieckich. Za hasłem danem przez nią, wszędzie witano ich jako obywateli Polaków i braci, którzy krwią i udziałem swoim w ruchu narodowym, zdobyli sobie prawo równości. Wielopolski przemawiający do nich w tonie równouprawnienia, poszedł więc w tym razie za prądem narodowym i należy się mu za to uznanie, on to bowiem ulegalizował i przeprowadził obywatelstwo żydów, które naród orzekł; nominował ich urzędnikami i pierwszy Mathiasa Rosena, żyda, który się złączył z ruchem narodowym, powołał na członka Rady stanu.

Dobre wrażenie, jakie zrobiło przemówienie jego do żydów, nie mogło jednak zatrzeć wrażenia przemowy jego do duchowieństwa katolickiego i stanowiska, jakie zajął wobec tego ostatniego. Duchowieństwo to żadnym postępkiem nie prowokowało surowości i groźb, których wysłuchać musiało; brało ono wprawdzie udział w ruchu narodowym, ale mu nie przewodniczyło. Odrzucone i znieważone wysunęło się na pierwszy plan i odtąd widzimy duchownych, nawet biskupów samych, a pomiędzy nimi i arcybiskupa

Fijałkowskiego, jako przewodników narodu. Zachowanie się takie duchowieństwa sprawiło, iż ruch narodowy oparł się o kościoły, obudziło w narodzie uczucia katolickie i nadało wypadkom charakter religijno-narodowy, który tem się szczególnie odznaczył, iż nie miał w sobie nic fanatycznego i pełen był miłości chrześcijańskiej, która jest matką rozumnej tolerancji. Temu to zawdzięczać należy, iż ruch ówczesny przy swojej barwie katolickiej był zarazem ruchem równouprawnienia wyznań, łączącym tak katolików jak protestantów i żydów w naród, wspólnem uczuciem polskiem i dążeniem politycznem spojony.

Margrabia swoim wystąpieniem przeciwko duchowieństwu katolickiemu, wzmocnił, powtarzamy to, siły ruchu, z którym tak energicznie walczył, powiększył liczbę jego zwolenników, sam zaś utracił pomoc tak potężnej i wpływowej korporacji, jaką jest w każdym kraju duchowieństwo katolickie, wszystko zaś dlatego, iż wyobrażenia jego o silnie zcentralizowanym rządzie nie pozwoliły mu się pogodzić z autonomją kościoła.

Utraciwszy pomoc duchowieństwa, zdawało się, iż margrabia szukać będzie oparcia dla siebie na szlachcie polskiej. Szlachta pomimo utraconych przywilejów i zrównania stanów, jest zawsze w kraju naszym klasą społeczną najbardziej wpływową. Tradycje narodowe wiernie się w niej przechowały. Życie polityczne, które za dawnej Rzeczypospolitej w niej tylko było rozwinięte, zrobiło ją wtedy jedynym przedstawicielem narodu. Z upadkiem kraju straciła wprawdzie dawne stanowisko, lecz nie dawne zasługi. Udział jej we wszystkich bojach o niepodległość, w związkach i w spiskach, ojezy-

zną i narodowość mających na celu; cierpienia, doznane po więzieniach, na tułactwie i Syberji; prześladowanie, które się nad nią srożyło zawsze z szczególną zawziętością, zapisało zasługami szlachty polskiej karty nowych porozbiorowych dziejów. Zasługi te nie są wyłącznie jej udziałem, lecz udziałem wszystkich klas społeczeństwa, dopóki jednak szlachta polska nie przestanie być patryjotyczną, dopóty zachowa poważne swoje stanowisko w narodzie i dopóty każdy mąż stanu, który ujmuje ster Polski w swoje ręce, szukać musi dla siebie w niej stronnictwa.

Stronnictwo obywateli wiejskich było dla Wielopolskiego tembardziej potrzebne, iż wyobrażało ono pod owe czasy wielką zorganizowaną siłę, w porządku i w karności słuchającą swoich przewodników. Siłę tę nadało szlachcie Towarzystwo rolnicze, zaszczytnie ją zaś podniosło do najbardziej wpływowego stanowiska, nowe poświęcenie tejże szlachty, które się wyraziło przez uchwałę uwłaszczenia i dobrowolne zrzeczenie się przywilejów.

Przewodnikiem tego stronnictwa był Andrzej Zamojski i komitet Towarzystwa rolniczego, który go otaczał. Andrzej Zamojski nie był bynajmniej rewolucjonistą, lecz zwolennikiem dróg legalnych. Pracą organiczną w warunkach tej legalności dokonywaną dźwigał on siły kraju na polu gospodarstwa, przemysłu, handlu; odrodzenie zaś społeczne, które głównie zamierzał, dałoby się wybornie pogodzić z planami wykonania reform Wielopolskiego, zwłaszcza iż w sprawie uwłaszczenia wziął ten ostatni za fundament prace Towarzystwa rolniczego i przeprowadzał je w myśl zasad, w uchwałach tegoż Towarzystwa wy-

rażonych. Ponieważ jednak po za kwestjami wewnętrznymi, w których się zgadzał z stronnictwem Zamojskiego, margrabia miał dążenia polityczne już nam znane z słów jego własnych; ponieważ wiedział, iż cel tych dążeń nie znajdzie nigdy poparcia szlachty, która nie przestała być piastunem ideałów narodowych, zdecydował się obywać się bez pomocy wiejskich obywateli. Należy też nadmienić, iż wiele się przyczyniła do zerwania przyjaznych z tem stronnictwem stosunków ta okoliczność, iż Wielopolski nie cierpiał Zamojskiego. Był on jego antagonistą głównie z powodu wyższości moralnej pana Andrzeja, z którą własna jego wartość nie wytrzymywała porównania. Stanowisko przewodnika narodu, do którego wypadki go wyniosły, zdawało mu się tak długo być wątpliwem, jak długo Zamojski zostawać będzie na czele stronnictwa i narodu. Nie posiadał on dość skromności, ażeby się zniżyć do żądania współdziałania Zamojskiego, postanowił go więc złamać i z drogi usunąć. Wyobrażając sobie przy tem, iż szlachta polska ze swoim naczelnikiem nie przestała być dawną anarchiczną szlachtą, a pamiętny wykluczenia go z Towarzystwa rolniczego, wpadł na nieszczęsną myśl rozwiązania Towarzystwa rolniczego.

Przy rozwiązaniu, on zwolennik legalności, dopuścił się wykroczenia przeciwko prawu. Z obawy bowiem napotkania opozycji w łonie Rady administracyjnej, urzędującej przy namiestniku, nie zwołał takowej na posiedzenie, lecz napisał protokół rozwiązujący Towarzystwo bez posiedzenia, który następnie pojedynczo zwoływani do namiestnika członkowie Rady administracyjnej podpisywać musieli. Dnia 6. kwietnia ogłoszono dekret rozwiązania, umotywowany nastę-

pującymi słowami: „Towarzystwo rolnicze w Królestwie Polskiem, ustanowione w jedynym celu podniesienia rolnictwa, przez położenie, jakie w czasach ostatnich pomimo ustawy swojej przybrało, dzisiejszym okolicznościom nie jest odpowiednie.“

Powody wskazane były fałszywe, widzieliśmy bowiem, iż Towarzystwo rolnicze nie przekroczyło ustawy swojej; Zamojski zaś i członkowie komitetu w działaniu swoim podczas wypadków, jakie miały miejsce tak przy sporządzaniu adresu, jak przedstawianiu rządowi krzywd i żądań narodu, działali nie jako członkowie Towarzystwa, lecz jako obywatele kraju. Rozwiązanie to było przytem wielkim błędem politycznym, rozwiązało ono bowiem stronnictwo, które na drogach legalnych szukało polepszenia warunków bytu narodowego i na tych drogach spotkaćby się musiało z Wielopolskim, niosąc mu czynną pomoc przy wykonaniu reform.

Tak więc osamotniał się dobrowolnie margrabia, i odpychał od siebie jedną korporację za drugą. Pozbawiwszy się pomocników i sprzymierzeńców w członkach Towarzystwa rolniczego, pchnął ich wszystkich na drogę ruchu i opozycji.

Wrażenie z rozwiązania Towarzystwa, aż do tej chwili najskuteczniejszego hamulca ruchu, było fatalne. Najspokojniejsi obywatele, tajemni nawet zwolennicy i przyjaciele Wielopolskiego stali się jego wrogami, ruch zaś narodowy już znacznie uspokojony, jak to nadmieniliśmy w swoim miejscu, wybuchnął z nową siłą, której powstrzymać nie zdołało krwawe nawet starcie.

Nazajutrz, po rozwiązaniu Towarzystwa, d. 7. kwietnia 1861 r. zebrało się około sto tysięcy ludu przed pałacem Towarzystwa kredytowego

ziemskiego, w którym mieścili się biara Towarzystwa rolniczego, dla wyrażenia swojej cześci temu ostatniemu, i zarazem smutku z powodu jego rozwiązania. Przyniesiono wieńce, orla moskiewskiego na balkonie pokryto białym orłem, i stutysięczny tłum zagrział pieśnią „Jeszcze Polska nie zginęła“! Ztamtąd udał się tłum przed pałac Andrzeja Zamojskiego, wysłał do niego deputację, a dziedziniec wieńcami zarzucił. Zamojski dziękował z balkonu ludowi za zaszczyt sobie wyrządzony, do deputacji zaś przemawiał prosząc, ażeby się powstrzymano od manifestacji, która nieszczęście sprowadzić może, a z jego programem prac organicznych zupełnie nie jest zgodną.

Tłum oddalił się z przed pałacu, i popłynął jak lawina do Zamku. Tam wystąpiło wojsko i stanęło oko w oko z ludem, od którego oddzielała go tylko przestrzeń kilku kroków. Generał Chrulów, gotów strzelać w tłumy za każdym rozkazem, dowodził wojskiem. Gorczaków wybiegł z Zamku i trzęsąc się z gniewu, biegał pomiędzy ludem a wojskiem, krzyczał, wymyślał i groził, rozkazując rozejść się do domów. „My jesteśmy w domu, lecz ty książę nie jesteś u siebie! Wracaj do swego domu, z którego przybyłeś!“ — odpowiedziano mu. Rozmowa Chrulewa i Gorczakowa z ludem przybierała ton coraz głośniejszy. Żądano przywrócenia Delegacji i Towarzystwa rolniczego. Gdy pogroził strzelaniem, wołano: „Strzelajcie do bezbronnych! Lepsza śmierć niż niewola!“ Starciu jednak, które było bardzo bliskie, zapobiegło wmięszanie się byłych członków Delegacji i straży bezpieczeństwa, pomiędzy którymi najwięcej uspakajały rozburzone tłumy słowa Szlenkera i Karola Ruprechta. Skłonili oni Gorczakowa, iż sam powrócił do

Zamku, a następnie do tego, iż wydał rozkaz cofnięcia wojska. Gdy już wojsko odeszło, lud ustąpił z placu i rozszedł się do domów.

Gorczaków zatelegrafował o tem zejściu do Petersburga, i odebrał od cara telegraficzną odpowiedź, ażeby siłą złamał opór. W skutek carskiego rozkazu wywołano nazajutrz rozmyślnie starcie pod kolumną Zygmunta, na tymże samym placu Zamkowym.

Tego dnia odbywał się pogrzeb powróconego z Syberji Ksawerego Stobnickiego. Lud manifestacyjnie towarzyszył pogrzebowi. Tymczasem na placu Zamkowym, gdzie nie było żadnego zgromadzenia, rozległ się odgłos trąbki pocztyliona, wygrywającego: „Jeszcze Polska nie zginęła.“ Na ten odgłos, jak to zwykle bywa w wielkim mieście, przechodzący ulicą stanęli w miejscu. Gdy zebrała się gromada z kilkuset ludzi złożona, wojsko nagle wystąpiło z Zamku i kozacy przypuścili szarżę do stojących w trzech punktach gromad. Szarża ta sprowadziła na plac Zamkowy większy tłum ludu. Zaczęto strzelać. Strzały jednak zamiast rozpędzić zebranych, powiększyły ich gromadę. Pokazali się wracający z pogrzebu i procesja od Kapucynów z krzyżem dla powstrzymania krwi rozlewu. Wtedy rozpoczęła się rzeź formalna. Krzyż wytrącony z rąk chrześcianina podjął żyd i zginął pod nim.

Wstrzymujemy się od opisu oburzających szczegółów tej rzezi, w której według podań zginąć miało kilkaset ludzi. W czasie rzezi jeden z lekarzy warszawskich wpadł do margrabiego Wielopolskiego, i prosił, ażeby się udał do Zamku i powstrzymał Gorczakowa od dalszego krwi rozlewu. Margrabia wsiadł do powozu, na koźle zaś ulubiony w Warszawie lekarz i tak przejechał niepoznany przez tłumy do

Zamku. Tam jednak margrabia nie chciał wyrzec ani słowa do Gorczakowa. Lekarz zasmucony oddalił się na plac ratować rannych. Wkrótce potem przybył Szlenker do namiestnika i gdy nie mógł skłonić go do wydania rozkazu, ażeby strzelać wojsko przestało, zwrócił się do margrabiego, znajdującego się w orszaku Gorczakowa i prosił w imię ludzkości o wstawienie się u księcia za ludem. Wielopolski ponury i chmurny, na prośbę jego nie raczył odpowiedzieć.

Nazajutrz ogłoszono prawo o zbiegowiskach, które napisał Wielopolski. Gdy zanominowany kilka dni temu ministrem sprawiedliwości Jan Kanty Wołowski, nie chciał się zgodzić na posiedzeniu Rady administracyjnej na owe prawo, otrzymał natychmiast dymisję, ministrem zaś na jego miejsce zanominowany został Wielopolski, który tym sposobem połączył w swoim ręku dwie teki, wyznań i oświecenia oraz sprawiedliwości.

Dnia 10. kwietnia przemawiając jako minister sprawiedliwości do zgromadzonych senatorów, sędziów i urzędników, powiedział mowę, zaczynając się od słów „ocalony w krwawem niestety, starciu, teraz w nowe prawo uzbrojony porządek publiczny, w ręce wasze oddać przychodzę. Waszą teraz jest rzeczą, abyśmy to dobro społeczne dzierżyli odtąd w pokoju. Porządek publiczny nie może być z dnia na dzień wyzebrywany.“ W dalszym ciągu zapowiedział uzupełnienie prawodawstwa, a zwłaszcza reformę prawa kryminalnego, zapewniając, iż chociażby tylko tego dokonał, iżby na podstawie nowo zapadłego prawa o zbiegowiskach, porządek publiczny „ten pierwszy warunek wszelkiego na dro-

dze prawnej postępu narodowego utrwalił i ubezpieczył, jużby dobrą o sobie i dla dzieci zostawił pamięć.“

Wzięcie odpowiedzialności na siebie za starcie 8. kwietnia, przedstawiło margrabiego odtąd w krwawej i tragicznej postaci. Obojętność dotychczasowa dla niego zamieniła się w nienawiść, a wśród porządku publicznego, który zdało mu się, iż przywrócił, nie śmiał się margrabia inaczej pokazywać jak w otoczeniu żandarmów moskiewskich. Warszawa wyglądała jak gdyby obleżona, wojsko obozowało na ulicach, zamknięto Resursę, skasowano pocztę miejską, zabroniono śpiewać „Święty Boże,“ i inne modlitwy, a resztowano za noszenie lasek ze skówkami i za noszenie żałoby, szkoły zamykano, cytadelę zaś i Modlin napełniono więźniami politycznymi. Ruch narodowy, który dotąd rozwijał się jawnie, zepchnięty z ulic i z placów, zstąpił w głębie i poczęły się formować tajemne kółka oraz związki i tworzyć początki organizacji, która następnie przybrała rozmiary obejmujące kraj cały i stała się podstawą powstania.

Takie to były skutki niepolitycznego kroku margrabiego i takie następstwa drażnienia i odtrącania przez niego stronnictw legalną idących drogą, które w Delegacji miejskiej i w Towarzystwie rolniczem posiadały organizację zdolną, ruch umiarkować i zupełnie w końcu uspokoić.

VII.

Nie jest naszym zamiarem opisywanie w porządku chronologicznym wypadków r. 1861 i 62. Te tylko wydarzenia wchodzą w zakres naszej pracy, które miały albo wielki wpływ na usposobienie narodu, albo były następstwem działania Wielopolskiego. Krwawe starcie pod kolumną Zygmunta d. 8. kwietnia w toku tych wydarzeń jest jednym z najważniejszych wypadków. Wspomnieliśmy już, jakie były jego następstwa.

Tu jeszcze raz powtórzyć musimy, iż represja, którą chciano powstrzymać agitację, już w znacznej części przez inne wpływy umiarkowaną, stała się dalszą a wielce silną podniecią ruchu narodowego i zmusiła przeciwników polityki rządowej do tajemnego działania. Przed d. 8. kwietnia nie było żadnych w ścisłym tego słowa znaczeniu konspiracji, tajemne związki zaczęły się dopiero tworzyć w skutek policyjnej represji, jaka nastąpiła po krwi rozlewie na placu Zamkowym.

Forma dziesiątek, która była podstawą organizacji straży bezpieczeństwa, użyta została w tajemnym związku, sformowanym w Warszawie. Nikt tego związku nie wywoływał, nie miał on inicjatora, lecz począł tworzyć się sam z inicjatywy odrazu przynajmniej tysiąca osób. Jak po deszczu rośliny, tak po tej krwi ulewie występowały niezależnie od siebie i nie o sobie nie

wiedzące tajemne dziesiątki z postanowieniem zastąpienia tych czynników, które dotąd jawnie ruchem narodowym kierowały.

Osoby umiarkowanego usposobienia, które wstręt lub bojaźń okazywały dawniej do tajemnego działania, jakby siłą niewidzialną popchnięte, nie tylko wstępowały do tajemnych kółek, ale nawet je same formowały. W jakim zaś kierunku związki te działać poczęły i jakich zasad trzymać się postanowiły, wykazuje odezwa p. t.: „Posłanie do wszystkich Polaków“, którą jedno z tych kół ogłosiło w tym czasie. Odezwa ta przyjęta z szczególnem uznaniem, rozpowszechnioną została w kilkuset tysiącach egzemplarzy i stała się programem dla narodowego ruchu. Zwrócić tu należy uwagę, iż pomimo wypowiedzianego w niej dążenia do przywrócenia praw Polski i do odzyskania narodowej niezależności, odezwa nie stawiała powstania jako celu zamierzonego. W umiarkowanym tonie określała obowiązki każdego Polaka i wzywała do pracy nad wzmocnieniem narodowości, wyrobieniem jej sił moralnych i materialnych oraz nad ubezpieczeniem praw Polski.

Program w niej zawarty jest dowodem, iż nawet wtedy jeszcze pozostawała możność ujęcia ruchu w karby, któreby nie dopuściły wybuchu katastrofy. Lecz dla dokonania tego, należało mieć serce i znać uczucia i myśli narodu, trapionego długą a srogą niewolą, któremu żyć nie pozwalano i w którym dlatego właśnie objawiać się musiało pragnienie życia z gorączkową niecierpliwością. Gdyby margrabia więcej był Polakiem niż doktrynerem, byłby wiedział, iż w takim stanie gorączkowego rozdrażnienia, represja nie jest bynajmniej środkiem powstrzymującym. Łagodność, życzliwość okazana i przema-

wiająca słowem miłości do rozsądku, byłaby więcej sprawiła niż patrole policyjne, obozy na ulicach i zdzieranie żałoby.

Postępowanie władz wojskowych wykraczało zapewne nieraz po za miarę nakreśloną przez Wielopolskiego; sam jednak do tego wiele się przyczynił, iż się one we wszystko mieszały. Trudno jest przypuścić, ażeby człowiek tak światły jak margrabia nie znał dobrze Moskali i nie wiedział o tem, że dopuszczenie gubernatorów, jenerałów i oficerów do czynności poskramiania Polaków, zamienić się musi na rozmyślne drażnienie i jątzenie narodu, którego skutki mogły tylko utwierdzić samowolę i bezprawie, jakie zamierzył usunąć z systemu rządowego. Wiedział on o tem a jednak uznawał represję, która bez użycia policji i wojska obyć się nie mogła, za środek jedynie prowadzący do celu. Że tak było rzeczywiście, przekonywa ta okoliczność, iż unikał pomocy, jaką mu nastroczało stronnictwo legalne i odpychał podawane mu przez nie środki uspokojenia.

Zadufany sam w sobie i w własny swój rozum, odrzucił wszystkie sposoby porozumienia z narodem, wsparł się na prawie obowiązującym, i za wiele zawierzył skuteczności dróg prawnych. Że zaś drogi te prawne zostały narzucone przez rząd moskiewski i wyobrażały spotęgowany policyjny ucisk, więc i one popychały go i skłaniały ku środkom represyjnym.

W dalszym ciągu swojego działania postanowił usunąć mieszanie się wojskowych w sprawy rządu, które było źródłem ciągłych nadużyć. Lecz że ucisk przez obcych wojskowych wywierany, chciał zastąpić uciskiem dokonywanym przez swoich i administrację oraz sądy zamienić na narzędzia policyjnego prześladowania, rzecz się

nie udała. Kodeks karny nienastępował mu jeszcze, pomimo swej surowości, dość sposobów do wywołania grozy, tłumaczył więc dowolnie jego paragrafy i wyprowadzał z nich różne zaostrezenia. Kodeks ten nie zna kary śmierci. Wielopolskiego pojęcie o potrzebie większej represji posunęło go nawet do tego, iż z jednego artykułu tegoż kodeksu wyinterpretował prawność kary śmierci za udział w manifestacjach politycznych. Tłumaczenie to swoje chcąc narzucić sądownictwu, zebrał u siebie jako minister sprawiedliwości sędziów i oznajmiwszy, iż sprawy polityczne będą rozstrzygane przez sądy krajowe, rozkazał im stosować w wyrokach wspomniany paragraf kodeksu według swojej interpretacji. Sędziowie zdumieni dowolnością ministra, oświadczyli przez usta jednego z pomiędzy siebie (dzisiaj obecnego we Lwowie), iż podobne tłumaczenie nie zgadza się z prawem, że rozkaz im wydany jest samowolą i że do niego stosować się nie mogą, ponieważ kodeks karny nie zna kary śmierci.

Przytaczamy ten fakt, ażeby wykazać, iż Wielopolski nie wierząc w żadne inne środki uspokojenia ruchu, był najmocniej przekonany, iż go powstrzymać zdoła prawną represją. Popychała go ona coraz więcej do obrażającej nie tylko uczucia narodu ale nawet prawo obowiązujące samowoli i do gwałtów, które drażniąc i niecierpliwiąc doprowadziły ostatecznie do wybuchu.

Doświadczenie zrobione w czasie ucisku policyjnego, zaprowadzonego po 8. kwietnia, nie odprowadziło go bynajmniej od używania ucisku i prześladowania. Ponieważ zaś Wielopolski zasłaniał sobą jeszcze wszystkie czyny surowości popełnione przez innych, mianowicie policję i

wojsko, zrodziło się przekonanie w narodzie, iż margrabia nie zamierza żadnej rzeczywistej odmiany, że jest prostym naśladowcą Muchanowa, nie zaś mężem stanu, zdolnym ulepszyć położenie Polaków.

Gdy to przekonanie udzieliło się członkom byłego Towarzystwa rolniczego, którzy byli z małemi wyjątkami zwolennikami legalności i przeciwnikami manifestacji, wyniknęło pomiędzy nimi usiłowanie tajemnego zorganizowania się w celu ratowania kraju od niebezpieczeństw, jakie mu groziły. Skutkiem tych usiłowań było utworzenie się tak zwanego stronnictwa białych, które zostając pod zwierzchnictwem dyrekcji, rezydującej w Warszawie, działało przysłonięte tajemnicą w kierunku zasad, jakie dawniej wyznawało Towarzystwo rolnicze. Andrzej Zamojski nie należał do tej organizacji; znosił się z nią jednak usunąwszy się na drugi plan, ażeby nie razić Wielopolskiego swoim występowaniem. Inni członkowie byłego Towarzystwa rolniczego z pewnymi rozumie się wyjątkami, weszli w skład tej organizacji, która objęła cały kraj a mianowicie też jego inteligencję. Jakkolwiek zmuszona do tajemnicy a więc nielegalna w swojej egzystencji, organizacja białych trzymać się postanowiła ściśle dróg legalnych w swoim na zewnątrz postępowaniu i postanowiła popierać Wielopolskiego w przeprowadzeniu nadanych reform. W tem nawet swoim przeobrażeniu, członkowie byłego Towarzystwa rolniczego stawali się więc naturalnymi sprzymierzeńcami Wielopolskiego. Jeżeli nimi nie zostali do końca, było to winą margrabiego, który odtrącił ich po raz drugi i wyrzekł się stanowczo ich pomocy.

W czasie formowania i organizowania dwóch wzmiankowanych stronnictw, manifestacje nie

ustawały na chwilę, pomimo rozpasania się wojska i policji. Tam, gdzie wszystko jest zakazane, wszystko stać się może i musi przedmiotem manifestacji. Ubranie się w czamarkę, śpiew w kościele, nabożeństwo żałobne, obchód narodowy, kazanie, swobodna rozmowa, powtórzenie wiersza patriotycznego, konfederatka na głowie a w ręku laska ze skówką, bywa w ucisku politycznym demonstracją. Jedynym środkiem przeciwko takim manifestacjom jest niezwracanie na nie uwagi i pozostawienie ludności zupełnej swobody w wyrażaniu uczuć sposobami zewnętrznymi. Gdy rząd nie przypisuje manifestacyjnym objawom głębszego znaczenia, tracą one w jednej chwili ważność polityczną, i przestają być czynami opozycji oraz sposobami walki. Jeżeli więc manifestacje zamieniły się na codzienny zwyczaj i ciągłą a nieustającą walkę z rządem, stało się to dlatego, iż rząd sam nadał im to znaczenie, że ułatwiał je czepianiem się do każdej drobnostki, prześladowaniem zaś wywoływał je i pobudzał, robiąc z nich tym sposobem wypadki, które historia zapisuje.

Każdy dzień przynosił wiadomość o jakiejś nowej manifestacji, najczęściej drobnej i bez znaczenia. Studenci na przykład, uczący się w gimnazjum pałacu Kazimierowskiego, rozwalili parkan, postawiony z rozkazu Wielopolskiego w ogrodzie, który był oddanym na użytek publiczny. Była to swawola studencka, którą należało skarcić zwykle po szkołach praktykowanymi sposobami, Wielopolski jednak nadał jej rozmiary politycznej przeciwko sobie demonstracji, oddaniem kilkunastu malców pod sąd karny. Sędziowie traktowali tę sprawę jako małoważną, i uwolnili malców, oddając tę sprawę władzy szkolnej. Wielopolski apelował do wyższej instancji; chcąc

zaś mieć wyrok według swojej myśli, powołał do siebie prezesa sądu, i podyktował mu wyrok surowy na studentów. Prezes sądu nie przyjął wyroku i oznajmił ministrowi, iż sądzić będzie według prawa i sumienia. Przegrał więc sprawę Wielopolski i w tej instancji; procesowanie się to jednak ze studentami zmniejszyło jego powagę, sprawie zaś parkanu nadało kształty wielkiego znaczenia demonstracji, w oczach bowiem publiczności swawola studencka przedstawiła się jako wystąpienie słuszne przeciwko nadużyciu ministra, który przywłaszczyć chciał sobie własność publiczną, oddzielając parkanem część ogrodu na własny swój użytek.

Wielopolski nie znosił żadnego oporu, był jak car absolutnym; drażniło go przeciwnie zdanie, i znieść nie umiał żadnej obok siebie niezależności. Sądy, które swej niezależności broniły i obronić ją wreszcie umiały przed samowolą ministra, naciągającego sprawiedliwość do widoków humoru lub polityki, wpadły w jego niełaszkę, co znowuż miało takie następstwo, iż rozsądna i na dobre będąca a przez niego pomyślana reforma sądownictwa, nie została przeprowadzoną według jego zamiarów. Opór, jaki rząd petersburski stawiał zamierzonemu przez Wielopolskiego usunięciu sądów wojennych do spraw politycznych, był przez Moskali motywowany faktami nieposłuszeństwa sądów cywilnych, wyrokujących w myśl prawa, nie zaś rządowej polityki.

Wiedząc, z jakim to rządem miał do czynienia, Wielopolski powinien był unikać prób, na jakie wystawiał sądownictwo polskie, chcąc je uczynić powolnem swoim rozkazom. Sądownictwo polskie umiało zachować swoją niezależność nawet wobec teroryzmu Paskiewicza, trudno więc było przypuścić, ażeby w czasach

wszechwładztwa opinii publicznej i rozbudzenia się w narodzie uczuć prawości, dało się nagiąć do niewypowiadanych widoków Wielopolskiego i wydawaniem wyroków niesprawiedliwych popierało złączyń chwałebne projektu ministra w rzeczy reformy prawodawstwa karnego.

Takimi to próbami i wymaganiami Wielopolski powiększał niemoc swoją w obec władz moskiewskich, które stawały mu na przeszkodzie w przeprowadzeniu tego wszystkiego, co zamierzał dobrego uczynić w zarządzie kraju. Nie umiał się on wznieść po nad własne namiętności, nie miał tego jasnego poglądu, jaki daje umysł wolny od pychy i zarozumienia, chciał ażeby wszyscy rozumieli tajone przez niego dobre zamysły i popierali je bez jakiegokolwiek z jego strony wyjaśnienia i żądania. Było to wprost niepodobnem, zwłaszcza, iż o tych dobrych pomysłach i projektach nikt nie wiedział; czyny zaś margrabięgo upoważniały do mniemania, iż takowych nie miał wcale, że szło mu jedynie o własne wyniesienie kosztem ustępstw z prawa i honoru narodu na rzecz polityki w liście do Metternicha wyjawionej.

Zatargi Wielopolskiego ze szkołami, zupełnie niepotrzebnie sprowadzone przez procesa oraz różne surowe rozporządzenia, utrudniły i odroczyły wielce pożądaną i w duchu narodowym pomyślaną reformę wychowania publicznego, którą Wielopolski objął programem żądań, stawianych w Petersburgu. Dopiero w r. 1862 zdołał wyjednać zgodę cara na tę zbawienną reformę; w roku jednak 1861 gniewem i zemstą wywołane postępowanie z studentami spowodowało, iż nawet dzieci zaczęły odegrywać rolę polityczną i manifestować na swoją rękę, czemu margrabia inaczej nie umiał zapobiedz, jak tylko zamknię-

ciem w czerwcu wszystkich szkół aż do miesiąca października.

W zarządzie kraju zaszły w tym czasie ważne zmiany. Dnia 30. maja umarł książę Gorczaków, zachorowawszy wkrótce po rzezi 8. kwietnia ze zmartwienia; krew bowiem bezbronnych, wtedy rozlaną, uważał za przyćmienie swojej chwały. Zastępcą namiestnika został na czas krótki generał Merchelewicz, wojenny gubernator Warszawy; dnia zaś 3. czerwca odbyła się instalacja ministra generała Suchozaneta, mianowanego namiestnikiem Królestwa polskiego.

VIII.

Suchozanet nie miał żadnych zdolności administracyjnych, nominowanie więc jego namiestnikiem było zupełnie niewłaściwem. Nominacja ta oznaczała, iż w Petersburgu niegodzą się na plan Wielopolskiego, aby zarząd Królestwa polskiego sprawowany był przez osoby cywilne. Suchozanet był generałem i nie rozumiał innych rządów, jak tylko wojskowe, stawiał więc ciągle przeszkody Wielopolskiemu, usuwał jego projekta, rad zaś słuchać nie chciał. Widocznem było, iż Suchozanet dążył do poniżenia stanowiska margrabiego i chciał być sam rządem.

Pomimo niezgody, jaka zapanowała pomiędzy nimi, Wielopolski starał się na zewnątrz okazywać, iż harmonja nie została pomiędzy nim a namiestnikiem zerwaną i stanowisko jego jest również wpływowe jak było za Gorczakowa. Było to błędem, który podtrzymywał niepopularność margrabiego, publiczność bowiem mniemała, iż wszystkie rozporządzenia surowe, któremi chciano ruch stłumić, wydane zostały za wolą i zgodą Wielopolskiego, nawet wtedy, gdy ten ostatni był im przeciwny. W Petersburgu zaś to na zewnątrz solidaryzowanie się z Suchozanetem nikogo nie złudziło, wiedzano bowiem dobrze z raportów i skarg, pisanych przez namiestnika na Wielopolskiego, iż nie ma pomiędzy nimi zgody. Suchozanet zresztą umyślnie po to był

posłany do Warszawy, ażeby wpływ Wielopolskiego ograniczył i plany jego reorganizacji Królestwa paraliżował. Butny i pyszny margrabia wydał się Petersburgowi zanadto zuchwiałym, nie podobało się tam dążenie jego do ogarnięcia całego rządu i z tem dążeniem prowadzono tajemną walkę.

O tej walce jednak, jak to wspominaliśmy, publiczność nie nie wiedziała, chociaż interesem margrabiego było, ażeby wiadomość o niej jak najwięcej się rozszerzyła. W takim bowiem razie opinja byłaby stanęła przy nim przeciw Petersburgowi i reperując jego popularność, byłaby powoli z nim się godziła i działanie jego popierała. Wielopolski jednak jakby z rozmysłem czynił się coraz więcej niepopularnym. Być może, iż wynikało to z planów jego polityki, że sądził, iż chwila, w której stanie się popularnym, obudzi nienfność cara ku niemu i spowoduje jego usunięcie. Jeżeli tak było, jeżeli rzeczywiście dane mu przez naród uznanie i poparcie spowodowałyby natychmiastowy jego upadek, w takim razie nieprzyjazne zachowanie się wobec niego ogółu, przedstawić się musi jako fakt dobrej i rozumnej polityki. Dlaczegoż więc dzisiaj panegirysci Wielopolskiego czynią wwrzuty narodowi, iż go opuścił i piętnują go mianem szalonego, iż nie poznał ręki, która mu niosła ocalenie? Naszą opinję pod tym względem już wypowiedzieliśmy, oceniając jego politykę, wyrażoną w liście do Metternicha, jako niegodną.

Jeżeli cele jej były tylko pozorne, jeżeli margrabia uważał je jako zasłonę, zakrywającą cel rzeczywiście polski, która dlatego tylko została przez niego użyta, ażeby mu kiedyś ułatwiła opanowanie stanowiska, wpływowego w rządzie, dając mu potrzebne do tego stanowiska

zaufanie cara, w takim razie należało inaczej działać, niż działał margrabia po swoim wejściu w skład rządu moskiewskiego w Królestwie Polskiem.

Gdyby Wielopolski był wielkim mężem stanu, jakim go dzisiaj robią jego zwolennicy, byłby przede wszystkim starał się o zapewnienie dobrego skutku temu wszystkiemu, co na dobro narodu przedsięwziąć postanowił. Zapewnienie to zależało z jednej strony od zaufania cara, z drugiej od poparcia narodu. Wielopolski dla wyrobienia sobie zaufania u cara poświęcił swój honor Polaka, wypowiedział wojnę narodowi, czynił wszystko, ażeby obudzić przeciwko sobie nienawiść tegoż narodu i stać się u niego niepopularnym i w końcu został przez cara odepchniętym, jako niemający dość wpływu i dość poparcia u swoich rodaków, a więc niezdolny do uspokojenia Polski, podejrzany wreszcie o tajone a nieprzyjazne dla carskiej polityki zamiary.

Pokazało się więc, że kosztem największych ofiar, zaufania cara w zupełności nie pozyskał, naród zaś swoją pogardą i zastosowaniem do niego środków drażniących i podniecających burzę, doprowadził do rozpaczliwego wybuchu.

Działanie więc jego bynajmniej nie upoważnia do przedstawiania go jako rzeczywistego męża stanu i człowieka opatrnościowego, zdolnego skruszyć lub tylko zwolnić jarzmo narodu, tem bardziej, iż nawet sam sobie stanowiska nie zdobył, gruntu do działania nie przysposobił, lecz zajmując pozycję przygotowaną wypadkami dla kogo innego, zaprzepaścił wszystkie korzyści, jakie naród przez krew swoją i ruch dobrze pokierowany zdobył na rządzie moskiewskim.

Za czasów Suchazoneta manifestacje szły swoim trybem. Ludzie umiarkowani nie mogli przeciwko nim występować z należytą siłą, dlatego, iż prześladował je rząd, znienawidzony przez cały naród i że takowe występowanie dawało każdemu charakter odstępcy, popierającego panowanie Moskali. Gdyby prasa była wolną, stałby się mogła organem, przemawiającym za uspokojeniem umysłów i niezawodnie byłaby się w znacznej części przyczyniła do zaniechania manifestacji, które zaczęły już przybierać coraz gwałtowniejsze formy, częstokroć zaś zwracały się przeciwko osobom za przyjaciół moskiewskich poczytywanym. Wielopolski był przeciwnikiem wolnego słowa i ze swobodą prasy bynajmniej się nie godził. Pozwalał wprawdzie dziennikom przemawiać o sprawach krajowych, co dawniej było niedozwolone, lecz pozwolenie swoje urunkował w taki sposób, iż dzienniki mogły rozpisywać się o tych sprawach, tylko w duchu polityki rządowej. I. J. Kraszewski dlatego, iż nie był powolnym żądaniom Wielopolskiego i gazety redagowanej przez siebie nie chciał zamienić na organ jego polityki, został wygnanym za granicę kraju.

Pisma rządowe, a zwłaszcza założony później przez Wielopolskiego *Dziennik powszechny* rozpisywał się o sprawach krajowych, polemizował z dziennikami zagranicznymi, lecz nie mógł mieć na opinię publiczną żadnego wpływu, z powodu swojego charakteru rządowego i artykułów, pisanych częstokroć w tonie lekceważącym naród. Już to Wielopolski tak w mowach, jakoteż w pismach swoich był wcale niezręcznym. Zamiast przekonywać przeciwników, utwierdzał ich w powziętem mniemaniu. Zamiast łagodzić, jątrzył i gniewał. Wyniosły ton jego pism i mów

miął w sobie coś z pychy i z buty właściwej jego charakterowi, w zdaniach zaś, które z pewnością dogmatyczną wypowiedział, odbijał się absolutyzm jego postępowania, który nie znosił i nie przyjmował dyskusji. Pomimo lekceważenia zdań przeciwnych i głosu opinii, Wielopolski miał mocno rozwiniętą namiętność polemiczną, która sprawiała, iż ciągle sprzeczał się w swoich organach z oponentami, a sprzeczał najniezręcznie. Ztąd wynikło, iż nie tylko postępowaniem ale też mowami i artykułami, które sam pisał i w *Dzienniku Powszechnym* zamieszczał, rozszczał w ludności ducha oporu i chęć zwalczania siebie samego. Pisma wychodzące za granicą gniewały go więcej niż same manifestacje w kraju. Szczególniej też był rozgniewany na *Czas* krakowski, który tajemnice jego odsłaniał i wykazywał jego nietaktowność oraz niewłaściwość polityki.

Dobrze poinformowany przez swoich współpracowników w Królestwie, *Czas* najwięcej odsłaniał margrabiego, najwięcej też przyczynił się do dokładnego poznania jego wartości, a tem samem rozszerzenia i utwierdzenia w całym narodzie opozycji przeciwko temu, dla którego dzisiaj nie może znaleźć dość słów uwielbienia. Wielopolski cały oddział policji przeznaczył do szpiegowania osób, które do *Czasu* w Warszawie pisywały i do śledzenia dróg, jakimi korespondencje były przesyłane. Próżnemi były wszystkie te śledztwa, w *Czasie* pojawiały się bowiem ciągle nie tylko opisy czynności Wielopolskiego, ale nawet rządowe dokumenta w ścisłej tajemnicy chowane. Kilku literatów podejrzanych o stosunki z *Czasem*, uległo policyjnej rewizji, jeden zaś z nich został wygnanym do miasta Białej.

Środki przedsiębrane przeciwko dziennikom i cenzura, nie tylko nie przyczyniła się do pozyskania opinii publicznej, przeciwniej rządowi i Wielopolskiemu, ale wzmocniała wrogię jej usposobienie w ten sposób, iż nadawała szczególny urok każdemu wolnemu a ściganemu przez nią słowu. W następstwie ograniczenie to prasy wytworzyło literaturę tajemną w Warszawie, której dziennikarstwo nabrało ogromnego wpływu na opinię publiczną. Latem w 1861 r. ukazał się w Warszawie pierwszy tajemny dziennik, później liczba ich urosła bardzo znacznie. Ponieważ zaś wydawnictwo tego rodzaju połączone było z wielkim osobistym niebezpieczeństwem i potrzeba było niemałego poświęcenia, ażeby się na nie odważyć, stąd też urok i wpływ tego dziennikarstwa stawał się coraz większym.

Pierwszy z tych tajemnych dzienników przemawiał za udziałem obywateli w wyborach do Rad municypalnych i powiatowych. Partja bezwzględnej opozycji odradzała wzięcie udziału w wyborach i stawiała jako obowiązek patriotyzmu odrzucenie wspomnianych Rad. Była obawa, iż w czasie wyborów, które się w wrześniu odbyły, lud warszawski pod wpływem demagogów napadnie na sale wyborcze i wyborców rozpędzi. Gdy się więc zbliżał dzień wyborów, stronnictwo umiarkowane zorganizowało tajemną obronę wszystkich sal wyborczych, popierając w ten sposób politykę Wielopolskiego.

Udział wyborców w głosowaniu był nader liczny. W jednym tylko miejscu zbliżyła się gąstka ludzi z młodzieńcem na czele, zdawało się, że w nieprzyjaznych zamiarach przeciwko wyborcom. Skończyło się jednak na tem, iż z pałacu b. Towarzystwa przyjaciół nauk wyszedł Andrzej Zamojski, owa zaś deputacja wręczwszy

protest panu Andrzejowi, oddaliła się spokojnie z oznajmieniem, iż spełniła swój obowiązek. Wybory więc szczęśliwie dokonane zostały w całym kraju i Rady municypalne, jako też powiatowe zaczęły funkcjonować z niemałym pożytkiem dla ogółu. Rada municypalna warszawska, której prezydentem w późniejszym czasie został syn margrabiego, hr. Zygmunt Wielopolski, odznaczała się szczególną pracowitością, taktem i rozumem w powziętych uchwałach.

Fakt przyjęcia i utwierdzenia się rad wybieralnych był w ówczesnych okolicznościach wypadkiem niemałej wagi. Oznaczał on bowiem, iż naród, godząc się z nowym porządkiem rzeczy, znacznie się uspokoił. Uspokojenie to stałoby się zupełnem i stanowczem, gdyby instytucje Rad wybieralnych zaprowadzono na Litwie, Białorusi, Wołyniu, Podolu i Ukrainie. Należy tu bowiem nadmienić, że ci którzy protestowali przeciwko wyborom i przeciwko porządkowi, jaki przeprowadzał Wielopolski, nie dlatego protestowali, ażeby mu byli przeciwni, lecz dlatego, iż zastosowano go tylko do Królestwa polskiego. Żądano, ażeby prowincje za Bugiem i Niemnem były obdarzone podobną jak Królestwo reformą. Partja skrajna w odsunięciu się od wyborów i w odrzuceniu Rad wybieralnych i w dalszem prowadzeniu ruchu narodowego, widziała tylko środek nacisku na rząd moskiewski, zmuszający go do zajęcia się Litwą i Rusią.

Jedność Polski silnie utwierdzona w sercach narodu odzywała się w tych głosach. Królestwo Polskie nie chciało być szczęśliwszem od innych prowincji. Jeżeli zaś pomimo tego zgodziło się na przyjęcie reform, uczyniło to dlatego, iż opinia stronnictwa umiarkowanego wzięła przewagę. Opinia ta przekonywała przeciwni-

ków, iż nierozsądkiem byłoby pozbawienie Królestwa Polskiego pożytecznych instytucyj dlatego tylko, iż rząd nie chce ich udzielić Litwie i Rusi; że tamte prowincje za złe Królestwu nie wezmą tego, iż korzysta ze sprzyjających okoliczności, aby wzmocnić i zapewnić rozwój narodowym siłom; że gdy nadane instytucje rozwiną użyteczną swoją czynność, znajdą się inne środki starania o ich zastosowanie do tamtych prowincji.

Słuszna ta opinia, jak to powiedzieliśmy, przemogła, hasłem jednak ówczesnych manifestacji stała się odtąd Ruś i Litwa i wymaganie dla nich narodowych instytucyj. Najpoważniejsze manifestacje, jakie się wtedy odbyły w całej prawie Polsce, objawiły w sposób rzewny i wspaniały miłość ku Litwie i Rusi i jedność narodu w piersiach jego utwierdzoną.

Manifestacja d. 11. sierpnia w Warszawie w rocznicę Unii lubelskiej, manifestacja nad Niemnem, gdzie na moście przez władze policyjne rozerwanym, spotkały się i wyciągnęły do siebie wzajemnie ręce dwie procesje, z Litwy i z Królestwa Polskiego, następnie zaś w październiku zjazd w Horodle, na którym potwierdzono akt jedności pomiędzy Polską, Litwą i Rusią przed wiekami zawarty, — dowodziły, jak potężną i nieprzepartą jest jedność narodu.

Uczucie tej jedności należy poszanować i kto chce Polski życzliwość i przyjaźń pozyskać, powinien się z tem uczuciem rachować.

Rząd moskiewski słysząc nie chciał o nadaniu narodowych instytucyj Litwie i Rusi. Wielopolski, gdy mu przedstawiano potrzebę uczynienia czegośkolwiek dla tamtych prowincyj, potrzeby tej nie uznał i wobec manifestacji bra-

terstwa oraz jedności Ziem polskich, obojętnie się zachował, co znowuż wpłynęło na niekorzystną o nim opinię.

Gdy ciągle trwające manifestacje zużyły wszystkie praktykowane dotąd środki i represje, w Petersburgu postanowiono wreszcie spróbować środków łagodności, w skutek czego generał Suchozanet został odwołany, namiestnikiem zaś nominowano generała hr. Lamberta, który wraz z generałem hr. Gerstenzweigiem, przeznaczonym na gubernatora wojennego stolicy, przybył dnia 23. sierpnia do Warszawy.

Rządy hr. Lamberta były rzeczywiście łagodne, i z tego właśnie powodu należało manifestacje ukrócić, a przynajmniej znacznie umiarkować. Gdy jednak ruch w jakimkolwiek narodzie się rozpocznie, nie łatwym się staje jego powstrzymanie, zwłaszcza, jeżeli nie ma ani odpowiednich instytucji, ani też stronnictw jawnie zorganizowanych, które bez narażenia się rządowi działaćby mogły w myśli uspokojenia, nie będąc zmuszane do tajenia swoich zasad i uczuć narodowych. Manifestacje więc nie ustały, owzem stały się codziennem zjawiskiem.

Codziennność ta odebrała im dawne znaczenie, przestano więc manifestatorów uważać za ludzi odwagi i poświęcenia, z czego rząd roztropny nie omieszkiałby skorzystać. Rząd atoli moskiewski nie umiał wytrwać w charakterze łagodności, czuł się w nim jakby w obcym żywiole. Szlachetnemu i łagodnemu Lambertowi dodał więc do boku stanowczego i surowego Gerstenzweiga, który miał poleconem sobie powstrzymać ludzkie zapędy namiestnika. Działanie ostatniego skompromitowało nawet po razy kilka hr. Lamberta, który trafiał na właściwe drogi, szukając porozumienia się ze znakomitymi mężami

w narodzie, i obiecując im rozszerzenie nadanych reform i swobód. Krótco to jednak wszystko trwało.

Arcybiskup Fiałkowski umarł. Zasługi, jakie położył wśród tych wypadków, stawając chętnie po stronie narodu, uczyniły go wielce popularnym, to też pogrzeb jego d. 10. października był pogrzebem prawdziwie królewskim. Pojawili się na nim chorągwie z orłem i pogonią, niesiono koronę kirem przysłoniętą, na znak żałoby po utraconych królach polskich. Sto kilkadziesiąt tysięcy ludu towarzyszyło do grobu zmarłemu arcybiskupowi, w tej liczbie kilka tysięcy włościan i żydzi ze swoim duchowieństwem.

Manifestacja ta pogrzebowa ogromem swoim i charakterem wybitnie polskim, wykazującym najsilniejsze pragnienie niepodległości, przeraziła rząd moskiewski. Lambert był za dalszą łagodnością, Gerstenzweig za jej porzuceniem i gwałtownem stłumieniem ruchu. Pogląd ostatniego trafił do przekonania cara.

Z Petersburga nadszedł rozkaz, ażeby nie dopuścić nowej manifestacji, którą być miało żałobne nabożeństwo za Kościuszkę, w rocznicę jego śmierci d. 15. października. Lambert chciał rozkaz petersburski wykonać w sposób o ile możliwości najłagodniejszy, twierdząc, iż srogość nie z Polakami nie dokaże. Przyszło do kłótni między nim a Gerstenzweigem. Ostatni zażądał, ażeby jemu zostawił namiestnik swobodę działania, ręką słowem honoru, iż buntowników poskromi, nie popełniwszy żadnego barbarzyństwa.

Tak się zbliżył d. 15. października.

IX.

Dniem przed rocznicą śmierci Kościuszki, to jest dnia 14. października ogłoszono stan oblężenia w Warszawie i w Królestwie Polskiem, uprzedzono więc manifestację, jaką na ten dzień przygotowano i wcześniej uzbrojono się przeciwko niej w wojenne środki. W Petersburgu myślano, iż w obec surowości tego stanu, nie możliwemi okażą się manifestacje, w środki zaś cywilne Wielopolskiego nie wierzono wcale i niechętnie na nie się godzono, jak to pomiędzy innemi przekonywa polecenie do sądów, które margrabia wydać był zmuszonym na początku października, ażeby, pomimo postanowienia Rady administracyjnej o zbiegowiskach z dnia 8. kwietnia, odnosiły się do namiestnika w sprawie aresztowanych za manifestację, czy ci kwalifikować się będą do oddania pod sąd wojenny czy też cywilny? Polecenie to wydane za czasów Lamberta dowodziło zarazem, iż łagodność rządów namiestnika była więcej następstwem jego osobistego usposobienia niż wpływem postanowienia cara Aleksandra II. Dopuszczał on tę łagodność lecz w takiej mierze, iż nie mogła skutecznie działać, tak z powodu krótkiego czasu jej zastosowania, jakoteż z powodu sprzecznych z sobą rozporządzeń. Każdy rozkaz namiestnika ograniczało lub nawet unieważniało w ślad za niem idące rozporządzenie, nadeszłe z Peters-

burga, w skutek czego rósł chaos a w nim ruch manifestacyjny nabierał nowej siły. Ponieważ przy tem wszystkim Moskałe w liberalizmie czują się jakby w nie swojej lecz pożytecznej sukni, a łagodność i sprawiedliwość mają za jednoznaczne z słabością, zdecydowali się więc ostatecznie w Petersburgu wbrew radom Wielopolskiego i niezapytując o zdanie Rady Stanu, która otworzoną została 1. października, pójść za wskazówkami Gerstenzweiga i ogłosić s tan błęzenia.

Ogłoszenie to nie zrobiło wrażenia na ludności, jakiego się na dworze carskim spodziewano. Polacy przyzwyczajeni są do srogości rządu najezdniczego, wszystko więc, co ten rząd przedsięwzię surowego z zamiarem przerażenia ludności, chybia swojego celu. Czułość i wrażliwość ciągle bitych i prześladowanych zmniejszyć się musiała w ciągu wielu lat i sprawić, iż ostrze pocisków mniej razi z niemi już oswojonych. To było też przyczyną, iż ogłoszony stan oblężenia nie wstrzymał zamierzonej manifestacji w dniu 15. października.

Gdy nadeszła wiadomość do Zamku, iż kościoły napełniły się ludnością i publiczność śpiewać poczęła „Boże, coś Polskę“, jako też inne pieśni i modlitwy, którym rząd wojnę wypowiedział, generał Gerstenzweig, jako gubernator wojenny Warszawy, zażądał od hr. Lamberta szczegółowych rozkazów do wystąpienia przeciwko modlącym się w kościołach. Hrabia Lambert wahał się z wydaniem żądanych rozkazów. Gerstenzweig nalegał, przyszło powtórnie do sporu pomiędzy nimi, który się tem zakończył, iż gubernator dał po raz drugi słowo honoru, że nie popełni żadnego okrucieństwa, jeżeli namiestnik zostawi mu zupełną swobodę postępowania.

Otrzymawszy żądane pełnomocnitwo, generał Gerstenzweig otoczył wojskiem te kościoły, w których się jeszcze żałobne nabożeństwo za Kościuszkę nie skończyło i rozpoczął ich oblężenie. Jednocześnie rozpuścił kozaków po ulicach Warszawy, którzy nahajkami, pikami i tratowaniem rozpędzali idących chodnikami ludzi. Z kościoła św. Krzyża bocznymi drzwiami przez ogród misjonarski zdołali pobożni szczególnie ująć z świątyni, którą wojsko zaczęło opasywać. Kościół Bernardynów i archikatedralny św. Jana z ludnością w nich zgromadzoną zostały otoczone, ulice zaś do nich wiodące łańcuchami żołnierzy od reszty miasta odgradzone.

Oblężenie kościołów trwało dzień cały i noc całą i przedstawiało jedyny w dziejach widok ludności broniącej się przed wojskiem modlitwą i świętością miejsca. Z kościoła Bernardynów Moskałe wprowadzili wcześniej pobożnych niż z kościoła św. Jana. W tym ostatnim zgromadzonych było przeszło 3000. Gdy już noc nastąpiła i wojsko rozpaliło ogniska w okół kościoła, część żołnierzy gwałtem wtargnęła do kruchty, którą oddzielała od nawy kościelnej zamknięta z wewnątrz krata żelazna. Z tego miejsca mogli widzieć każdy ruch oblężonych. Wszystkie bowiem świece na ołtarzach zapalono jako też sto kilkadziesiąt świec przy katafalku, w środku kościoła postawionego i portretem Kościuszki ozdobionego. Zamknięci, cierpiąc głód i pragnienie modlili się i śpiewali psalm „Kto się w opiekę poda Panu swemu“ albo spoczywali siedząc na podłodze. Sygnaturka na wieży kościelnej ponurym swoim głosem dzwoniąc dawała znać strwożonemu miastu o losie oblężonych.

Wysłani z zamku generałowie wezwali przez

kratę modlących do poddania się na łaskę i nie-
łaskę namiestnika. Odpowiedziano im, iż Polacy
zamknęci są w kościele a nie w fortecy, z któ-
rego prędzej nie wyjdą dopóki wojsko nie ustąpi,
o poddaniu zaś słyszeć nie chcą. „Więc zginie-
cie z głodu, wojsko bowiem od kościoła nie od-
stąpi.“ „Jesteśmy na wszelką śmierć przygoto-
wani“ odpowiedziano generałom. Negocjacje wzna-
wiali generałowie kilka razy w ciągu nocy, gdy
jednak ani jeden głos w kościele nie odezwał
się za poddaniem, żołnierze o godzinie 5 rano
dnia 16. października zaczęli rozbijać kratę.
Wylamali ją wreszcie, wtargnęli do kościoła i
niebroniącą się ludność zaczęli kolbować i upro-
wadzać mężczyzn do cytadeli, kobiety zaś puścili
wolno do domów. Świątynia krwią rannych zo-
stała zlaną.

Oburzenie w mieście nie miało granic
i wyraziło się nawet pomiędzy Moskalami. Ad-
ministrator dyceezji ks. Białobrzescki, ażeby za-
bezpieczyć kościoły od dalszej napaści i profa-
nacji, zamknąć je polecił. Była to najsilniejsza
i najwymowniejsza protestacja przeciwko gwał-
tom rządu i oskarżenie go o barbarzyństwo,
które serca wszystkich napełniało zgrozą.

Namiestnik robił wyrzuty Gerstenzweigowi,
iż złamał dane słowo, popełnił bowiem nieznanne
w dziejach okrucieństwo i przez oblężenie ko-
ściołów hańbę ściągnął na jego imię i na dzieje
Moskwy. Wyrzuty były tak gwałtowne, iż padły
z ust hr. Lamberta wyrazy: „Podłym jesteś“ —
Gerstenzweig wyzwiał na pojedynek namiestnika,
dla uniknięcia atoli skandalu pojedynek miał
być amerykański. Węzelek na chustce, którą
trzymał generał Chrulew, wyciągnął Gerstenzweig
i wróciwszy do pałacu Bryłowskiego strzelił do
siebie. W kilkanaście dni potem umarł z rany

zadanej sobie w głowę, pielęgnowany w czasie
choroby przez katolickie siostry miłosierdzia.

Traiczne to zakończenie oblężenia kościołów
wzruszyło do głębi szlachetnego Lamberta. Roz-
chorował się w skutek odniesionych wrażeń i
podawszy się do dymisji wyjechał dnia 24. paź-
dziernika z Warszawy za granicę, gdzie w kilka
miesięcy potem umarł.

Lamberta zastępował Suchozanet, lecz już
dnia 8. listopada przybył do Warszawy generał
Lüders, nominowany namiestnikiem. Tymczasem
Wielopolski, który otworzył instytut przygoto-
wawczy do Szkoły głównej, zostawał w ciągłych
zatargach z zastępcą Lamberta i przestał bywać
na posiedzeniach Rady administracyjnej. Widząc
się wreszcie z powodu stanu oblężenia odsuwa-
nym od wszelkiego wpływu w rządzie, wyjechał
do Petersburga, gdzie z razu nie mogąc nic uzy-
skać u cara, podał się do dymisji z obowiązzków
dyrektora komisji i takową otrzymał, ozdobio-
nym będąc przez cara za swe zasługi orderem
orła białego I. klasy z pozostawieniem go sta-
łym członkiem rady stanu. Na jego miejsce w ko-
misji wyznał i oświecenia nominowanym został
Hube, w komisji zaś sprawiedliwości kasztelan
Leon Dembowski.

Lüders sprawował swoje namiestnictwo jako
wojskowy, to znaczy wprawił w ruch sądy wo-
jenne i aresztował mnóstwo ludzi, zwłaszcza też
wszystkich, którzy odznaczyli się w Delegacji
miejskiej. Ksiądz Białobrzescki był także areszto-
wanym, następnie zaś wygnanym. Ludowi gro-
madzącemu się na modlitwy przed zamkniętymi
kościołami grożono strzelaniem.

Terroryzm rządowy zapanował nie tylko
w Warszawie, ale w całym kraju. Potrole prze-
biegały ulice, policjanci aresztowali z przecho-

dzących każdego, kto się im nie podobał, z kobiet zdzierano żalobę. Stan umysłów jednak bynajmniej się nie uspokoił, odwaga zaś do występowania przeciwko rządowi jeszcze się więcej wzmogła.

Święta Bożego Narodzenia przeszły w Warszawie bez nabożeństwa, kościoły bowiem były ciągle zamknięte, zamknięcie to zaś rodziło prawdziwą do nich tęsknotę i sprawiało, iż nawet ludzie małej wiary uczuwaliby potrzebę modlitwy. Karnawał przechodził jakby dni pokuty i postu, a wszystkie usiłowania Lüdersa nie mogły rozbić stolicy.

W tym czasie, zaraz po ogłoszonym stanie oblężenia zaczęło się ściślejsze skupianie tajemnych kółek, którym początek dała represja po 8. kwietnia. Nowa zaś represja, zaprowadzona w październiku, wywołała potrzebę łączenia i centralizowania tych kółek, które dotąd stały odizolowane bez związku z sobą. W Warszawie utworzył się Komitet, który powołał łącząc kółka z sobą, tworzył z nich jedną pod swoją władzą organizację. Rosła ona i wzmagała się z dniem każdym, lecz dopiero w końcu maja r. 1862 przybrała nazwę „Organizacji narodowej“, komitet zaś jej nazwę „Komitetu centralnego narodowego“. Z ogromnej liczby wstępujących do tej organizacji, widocznym było, iż ilość tych, którzy zwątpili w możliwość otrzymania od rządu moskiewskiego koniecznych warunków do narodowego bytu, znacznie się w kraju powiększyła.

Komitet wspomniany zmieniał kilkakrotnie skład swoich członków, a z nimi i charakter swojego działania. Ci, którzy w nim występowali aż do końca maja, byli zwolennikami rychłego powstania, i chcieli orężem wywalczyć byt niepodległy Polski, nie wierząc w żadne moskiew-

skie koncesje. Przygotowywali oni powstanie na 14. lipca 1862 r., które byłoby niewątpliwie w tym czasie nastąpiło, gdyby młodzież akademicka, zatruwiona nieroztropnością przedsięwzięcia, nie była w końcu maja wywołała wewnętrznego przewrotu, i nie była wprowadziła do Komitetu ludzi umiarkowanych i rozważnych. Ci ostatni przekonawszy się, jak wątpliwymi były te siły, na jakie liczone, powstanie odwołali.

Organizacja białych, o której także wspominaliśmy, wiedząc o zamiarach stronnictwa czerwonych, starała się wszelkimi siłami zapobiegać im i powstrzymać przedwczesny wybuch. Walka domowa pomiędzy obu stronnictwami była tem zaciętszą, że była tajemną. Jakkolwiek zaś stronnictwo białych nie natrafiało na właściwe środki, mogące mu zapewnić przewagę nad gorętszymi przeciwnikami, byłoby przecież odniosło w końcu zwycięstwo, gdyby w jesieni 1862 r. Wielopolski nie był go popchnął ku czerwonym.

Zostawiliśmy Wielopolskiego w Petersburgu. Choć podał się do dymisji, nie przestał być czynnym. Nie mogąc przez czas dłuższy nie wskórać u cara, szukał w rodzinie carskiej osoby, którą można by było pozyskać dla planów reorganizacji Królestwa Polskiego. Staranie to nie pozostało bez skutku. Wielopolski zbliżył się do W. ks. Konstantego, brata cara, który odegrywał na dworze rolę liberalnego księcia, i okazywał się mniej uprzedzonym do Polaków niż car i dwór jego.

Zanim jednak nastąpiło zupełne porozumienie z W. ks. Konstantym, starania Wielopolskiego sprawiły, iż ksiądz Szczepny Feliński został nominowany arcybiskupem warszawskim. Przed opuszczeniem Petersburga nowy arcybiskup o-

trzymał od samego cara obietnicę swobód dla Polski, jeżeli wpłynie na powstrzymanie manifestacji.

Ks. Feliński zawierzył tym obietnicom. Przybywszy d. 9. lutego do Warszawy otworzył zamknięte kościoły i w pierwszej mowie, jaką z ambony u św. Jana wypowiedział, wyraził zaufanie w spełnienie obietnic cesarskich. „Mówiłem z monarchą długo — rzekł ks. Feliński — oznajmił mi, że nas pozabawić nie chce ani narodowości ani religii, że udzieli wszystko, czego pragniemy; ale jeden kładzie warunek: aby kraj się uspokoił, aby zakazane pieśni spiewane nie były.“

Niewiara jednak do rządu tak już była głęboko utwierdzoną, iż nawet tak poważne zapewnienie, jak ks. Felińskiego, ufnosci w obietnicę cara nie obudziło. Doświadczenie niestety historyczne, niezliczone krzywdy, jakich Polacy doznali od rządu moskiewskiego, niedotrzymanie najuroczystszych obietnic, łamanie nawet praw poprzysiężonych, świeżo zaś srożąca się represja aż nadto usprawiedliwiała ową nieufność. Ks. Feliński z szczerością prawego człowieka wypowiadający swoje przekonanie, wydać się musiał nieufającym ludziom oszukany i jako taki nie był wysłuchany przez ogół, co stało się powodem niejednego nieszczęścia.

Działanie jego pomimo nieprzyjemności, jakie go spotykały, nie zboczyło ani na chwilę z drogi, jaką sobie wytknął, uspakajania środkami duchownymi wzburzonego narodu. Gdyby działanie to mogło być jawnie wspartem przez stronnictwo umiarkowanych, byłoby może odniosło pożądany skutek. Gdy jednak ciągle trwająca represja niepozwoliła stronnictwu temu wychylić się na powierzchnię, wypadki zaś srogości rzą-

dowej zaprzeczały dobremu usposobieniu panującego, o którym mówił ks. Feliński, pozostał i on niestety osamotnionym i nie zdziałać nie mógł.

Wiadomo, jak boleśnie później ks. Feliński zawiedzionym został w swoich nadziejach. Gdy bowiem w rok później, w liście do cara przedstawił szczerze stan rzeczywisty kraju i zwrócił się do niego z prośbą o udzielenie krajowi niezawisłości, został nagle porwany i wywieziony na wygnanie, na którym dotąd przebywa, karany za to, iż z zaufaniem wskazał carowi najskuteczniejszy środek uspokojenia kraju.

Wielopolski za dwoma powrotami dość długo przebywał w Petersburgu, starając się ciągle już to sam, już przez różne osoby rozprószyć uprzedzenia na dworze przeciwko Polsce. Zważył wreszcie margrabia w możność pozyskania od cara szerokiej władzy, jakiej zażądał dla przeprowadzenia środków zbliżenia i połączenia wzajemnem zaufaniem narodu polskiego z narodem moskiewskim ku celom jednej polityki, na fundamencie autonomicznych instytucyj Królestwa Polskiego i pod działaniem rządu w rękach cywilnych spoczywającego. Zawiedziony w swoich nadziejach, postanowił ostatecznie opuścić Petersburg i zabierał się do wyjazdu.

W ostatniej już prawie chwili w. ks. Konstanty wstawił się u brata za Wielopolskim i gorąco przemówił za jego polityką. Wstawienie się to rozproszyło powątpiewanie i usunęło trudności. Car oświadczył, iż gotów przeznaczyć Wielopolskiemu żądane stanowisko w rządzie, pod tym jednak warunkiem, jeżeli w. książę przyjmie obowiązki namiestnika; nie ufał bowiem do tyła margrabiemu, ażeby go mógł samego na

najwyższym szczeblu władzy w Królestwie pozostawić.

W. książę Konstanty zdecydował się jechać do Warszawy i został nominowany namiestnikiem cesarskim, Wielopolski zaś pod jego władzą naczelnikiem rządu cywilnego w Królestwie Polskim, bezpośrednim zwierzchnikiem wszystkich komisji czyli ministerstw rządowych i wiceprezesem Rady stanu. W tym nowym charakterze swojej władzy powrócił Wielopolski do Warszawy d. 14. czerwca.

Jednocześnie Enoch, który pierwszy Wielopolskiego zbliżył do rządu, zanonimowany został sekretarzem stanu, Krzywicki dyrektorem komisji oświecenia i wyznań, hr. Keller dyrektorem Komisji spraw wewnętrznych, Łuszczewski zaś ponownie dyrektorem wydziału przemysłu w tejże komisji.

Oprócz tych nominacji uzyskał Wielopolski zatwierdzenie projektów do prawa o wychowaniu publicznem, o oczynszowaniu włościan i o prawach cywilnych żydów, które za jego inicjatywą były w Warszawie wypracowane przez powołanych specjalistów. Uzyskanie tych praw jest największą zasługą Wielopolskiego. Z szeregu wszystkich zasług, jakie wielbicieli margrabiego jemu przypisują, ta jedynie jest jego własną, rzeczywistą, którą mu też chętnie przyznajemy, jakkolwiek w naszym przekonaniu nie może ona zrównoważyć błędów jego polityki ani też nie może pokryć zapomnieniem zdrożności jej ostatecznych celów, które z taką szczerością opisał w liście do Metternicha.

X.

Opisując stronnictwa, jakie w pamiętnych latach 1861 i 62 działały, nie wspomnieliśmy dotąd ani słowem o partji rewolucyjnej czyli demagogicznej, z tego głównie powodu, iż istnienie jej nie ujawniło się aż dotąd żadnym głośniejszym czynem. W wypadkach r. 1861 nie brakło wprawdzie ludzi, gotowych podnieść hasła wielkiej rewolucji francuskiej i powtórzyć sceny, jakich widownią był niegdyś Paryż, lecz ludzie ci nie znajdowali echa w narodzie i byli zupełnie odosobnieni.

Charakter ówczesnych wypadków różnił się stanowczo od wypadków rewolucji zachodnich, był to ruch samodzielny, nie naśladowany, czysto polski, w którym wyraziły się wprawdzie idee, o jakie walczyła wielka rewolucja, lecz wyraziły się o tyle, o ile one były właściwością całej ludzkości i wyrobem własnej historii, w formie zupełnie polskiej, której cecha chrześcijańska pogodzić się nie dała z ostreimi konturami form działania rewolucyjnego. Nazwano ówczesny ruch walką moralną, jakoż najwłaściwsza to dla niego nazwa.

W miarę przedłużania się walki, coraz częściej objawiać się w niej poczęły wpływy doktryn zagranicznej rewolucji. Zwolennicy tych doktryn rekrutowali się głównie z młodzieńców, którzy odebrali wychowanie francuskie lub też

na uniwersytetach moskiewskich. Zrazu bez stronników, występowali pojedynczo i dlatego nie zdołali wyprowadzić narodowego ruchu z kolei jemu właściwej. Gdy jednak ciągle trwająca represja rządowa, znęcanie się policji i prześladowanie wojska, niecierpliwić w końcu i burzyć bojowe namiętności poczęło, wtedy też i propaganda rewolucyjnych sposobów zaczęła robić postępy. Tym sposobem powoli formowało się w narodzie trzecie stronnictwo, a raczej z powodu swojej małej liczby koterja rewolucyjna, która ścierając się z równą zaciętością tak z stronnictwem białych czyli legalnych, jak z stronnictwem czerwonych, złączonych w organizację narodową, położyła sobie jako zasadę rozmyślnie drażnienie rządu moskiewskiego, widząc w srożeniu się tegoż rządu najskuteczniejszy sposób doprowadzenia Polaków do powstania.

Koterja ta acz nieliczna, wiele ujemnego działała z powodu, iż składała się z ludzi ruchliwych i zdeterminowanych, którzy używali ostatecznych, zapalnych środków. Ona to wprowadziła zamachy na życie znienawidzonych osób. Lękała się łagodności rządu, sądziła bowiem, iż przez łagodność rząd doprowadzić może Polaków do uspokojenia i tym sposobem zapobiedz rewolucji, do której dążyła. Była też przeciwną wszelkim reformom i ulepszeniom dla tejsze samej przyczyny.

Jej to działaniu przypisać trzeba wszystkie te czyny, które w drugiej połowie 1862 roku tak mocno odstępowały od dotychczasowego charakteru ruchu. W liczbie ich były wspomniane dopiero co zamachy, o których nie nie wiedziała ani Dyrekcja umiarkowanych ani Komitet centralny narodowy. Pierwszym zamachem było pokuszenie się na życie Lüdersa w ogrodzie Sas-

kim d. 27. czerwca 1862. Lüders miał wkrótce opuścić Warszawę. Zapowiadano, iż na jego miejsce przyjedzie brat cara, w. książę Konstanty i przywiezie z sobą konstytucję i szeroką autonomię. Ponieważ zaś, jak to wspomnieliśmy, demagodzy lękali się, ażeby swobody z rąk rządu moskiewskiego nie uspokoiły zupełnie Polaków, zamachem więc na Lüdersa chcieli zapobiedz przyjazdowi Konstantego.

Cel tym razem nie został osiągnięty. Wielki książę przyjechał do Warszawy w dniu 2. lipca. dając tym przyjazdem dowód odwagi i zaufania do narodu. Tymczasem też sama koterja demagogiczna przygotowała zamach na Konstantego. Wykonawcą zamachu był czeladnik krawiecki, Jaroszyński, który dlatego tylko dał się namówić, jak to później oświadczył przed sądem, do zamachu, iż mniemał, że czyn jego koniecznie jest potrzebnym do wybawienia Polski z niewoli.

Szlachetność jego wrodzona wyraziła się w powstrzymaniu się od zamachu na w. księcia przez wzgląd na jego małżonkę. Konstanty wysiadłszy z wagonu, przechodził obok tłumu, w którym stał Jaroszyński, prowadząc pod rękę małżonkę swoją, będącą w stanie poważnym. Mógł w. księcia zabić, ale nie chciał strzałem przestraszyć kobiety i spowodować śmierci istoty, której życie dać miała. Na drugi dzień jednak strzelił z pistoletu do w. księcia, wychodzącego z teatru i ranił go w lewe ramię.

Strzał ten przeraził wszystkich i wywołał słuszne oburzenie. Opinia publiczna potępiła go, jako czyn niemoralny, niezgodny z charakterem narodu i jako czyn niepolityczny. Gdyby w książę, który miał sobie dane przez cara prawo ułaskawiania, zmienił był wyrok śmierci na inną karę, byłby tą wspaniałomyślnością swoją zje-

dnął sobie od razu serca wszystkich Polaków i uczynił niemożliwym dalsze działanie demagogów. Wielkiemu księciu jednak inaczej doradzono, Wielopolski zaś, który nie znał sposobów zjednywania narodu, nie wpadł na pomysł tak łatwego sposobu pokonania przeciwnika. Jaroszyński zginął na szubienicy. Ponieważ zaś każda śmierć budzi w sercach ludzkich uczucia litości, zapomniano więc o karygodnym czynie Jaroszyńskiego, a potępiano tego, który się nie zdobył na przebaczenie.

Mało komu jest wiadomem, iż z zamachem na życie Konstantego był połączony inny zamach, mający na celu usunięcie Komitetu centralnego narodowego, jako przeszkadzającego swoim umiarkowaniem rychłemu wybuchowi. W chwili, gdy pociąg wiozący W. księcia zbliżał się do Warszawy, zwolennicy rewolucji wpadli do sali, w której wspomniany Komitet odbywał posiedzenia. Mieli oni zamiar zmusić jakimikolwiek sposobami członków Komitetu do ustąpienia, pochwycić jego władzę nad organizacją narodową w swoje ręce, i wśród ogólnego zamieszania, jakiego wywołała śmierć nowego namiestnika, wywołać powstanie w Warszawie. Komitet jednak ustąpić nie chciał, i gdy certował się z rewolucjonistami, wszedł nagle do sali posiedzeń urzędnik policji narodowej z raportem do Komitetu, opisującym przybycie i wjazd W. księcia do Warszawy. Z tego to raportu dowiedzieli się obecni w sali zwolennicy wybuchu, iż zamach przygotowany na dworcu kolei nie udał się, od razu więc w swoich atakach na Komitet zmiękli i spokojnie ustąpili.

Komitet centralny rozumiejąc dobrze, jak niebezpiecznymi dla sprawy narodowej były zamachy, powziął na jednym z następnych swoich

posiedzeń uchwałę, potępiającą takowe i zabraniającą ich na przyszłość. Kółko jednak demagogiczne uchwały tej posłusznem nie było, działało bowiem na swoją rękę, i przygotowało dwa zamachy na życie Wielopolskiego. Pierwszy wykonał Ryll, litograf 18-letni, strzelivszy do margrabiego przy wysiadaniu z powozu do Komisji skarbu. Oba jego strzały chybiły. Drugi zamach miał miejsce 15. sierpnia w Aleach Belweder-skich. Niejaki Rzońca, także młody litograf, skończywszy na stopień powozu, chciał ugodzić margrabiego sztyletem, lecz uderzony biczem przez woźnicę, zamiaru nie dokonał. Tak Rzońca jak i Ryll zostali także powieszeni.

Szalone te zamachy, jak i egzekucje, które po nich nastąpiły, przyczyniły się bardzo wiele do fermentu w ludności i podniosły rewolucyjne usposobienie. Fermentu tego nie mogła załagodzić rozsądna mowa w. księcia po zamachu Jaroszyńskiego, w której oświadczył, iż za zbrodnię jednego nie robi narodu odpowiedzialnym; nie zmniejszyła go także odezwa tegoż w. księcia, (z d. 27. sierpnia) w której starał się zre-flektować naród, obiecując sprawiedliwe rządy i swobodę.

Do małego wrażenia tej odezwy przyczyniła się wielce ta okoliczność, iż z zapowiadanych a spodziewanych reform konstytucyjnych i autonomicznych nie zostało uiszczonem, nawet kolory narodowe, nie zostały przywrócone. Położenie pozostało także samo, jakie było przed jego przybyciem. Ta tylko różnica zachodziła, iż tym razem Wielopolski nie znajdował w namiestniku przeszkód w przeprowadzaniu reform, wskazanych koncesjami cara, udzielonemi w r. 1861, lecz wspólnie z nim uzupełniał autonomię administracyjną królestwa Polskiego. Do Rady stanu

powołano mężów zdolnych i używających dobrej opinii. Na gubernatów nominowano osoby cywilne; Rady miejskie i powiatowe, których czynność była zatrzymana, zaczęły regularnie funkcjonować. Reforma wychowania, tak ważna i pożądana, przychodziła też do skutku, a Szkoła główna, czyli uniwersytet miał być też wkrótce otwarty.

Gdyby obok tych czynności, które nie znajdowały krytyki, zaprzestano prześladowań i uwięzień, które w ciągu jednego półrocza doszły do liczby 15.000 i gdyby uczyniono cośkolwiek dla Litwy i Rusi, można było być pewnym zupełnego uspokojenia kraju, zwłaszcza, że oba wielkie stronnictwa w narodzie pracowały nad niem. Ale rząd moskiewski nie zdolny jest nigdy pozbyć się swoich narowów absolutyzmu, Wielopolski też nie był mężem stanu, któryby z tych narowów rząd mógł uleczyć. Zwolennik, jak to wykazaliśmy poprzednio, represji i gwałtów, co jedną ręką w zarządzie kraju dobrego zrobił, drugą ręką wskazywał na przemazanie. Serce jego, niezdolne przebaczać, zapalało wściekłym na naród gniewem za zamachy, jakich stał się dwukrotnie celem. Nieznając rzeczywistego usposobienia kraju ani też wzajemnego stosunku stronnictw do siebie, wszystkich czynił odpowiedzialnymi za szaleństwa niektórych. W czynnościach jego publicznych znać było gniew i zemstę. Uczucie osobistej urazy przebijało się w aktach urzędowych, które nosiły jego podpis. Człowiek takiego charakteru, bez skromności obywatelskiej, niezdolny był wpłynąć na władzę moskiewskie w ten sposób, ażeby je uczynić zwolennikiem rozsądnych, sprawiedliwych, na prawie opartych rządów.

W końcu sierpnia policja wpadła na ślady

organizacji narodowej i uwięziwszy 66 jej członków osadziła ich w cytadeli. Wraz z ich osobami wpadła w ręce policji ustawa organizacyjna. Wielopolski kazał ją ogłosić w dziennikach, ażeby istnieniem tajemnego związku usprawiedliwić surowe rządu postępowanie. Rząd ten jednak z powodu błędów i win własnych był już tak dalece pozbawionym rzeczywistego wpływu i powagi, iż ogłoszenie to bynajmniej nie oddziaływało na opinię i nie powstrzymało działania organizacji narodowej. Komitet jej odezwą 1. września drukowaną ujawnił się sam i oznajmił, iż odtąd nie zmieniając swojej nazwy działać będzie w charakterze rzeczywistego rządu; znikła bowiem wszelka nadzieja jakiegokolwiek znośnego a narodowe prawa ubezpieczającego bytu. Skutek, jaki miała ta odezwa, wykazywał dostatecznie po której stronie spoczywała moc i zaufanie narodu, rozkazy bowiem Komitetu znajdowały prawie ogólny posłuch.

Fakt tego posłuchu byłby dla prawdziwego męża stanu zachętą do zupełnie innego jak dotąd postępowania. Gdyby Wielopolski był owym, jak go dzisiejsi wielbiciele przedstawiają, wielkim mężem stanu i Polakiem, szczerze a rozumnie pracującym dla dobra narodu, byłby wyszedł z odosobnienia, w jakim zostawał i poszukał oparcia na stronnictwie legalnem i w porozumieniu z niem szukał środków zakłęcia nadchodzącej burzy, której zbliżanie zapowiadały wszystkie oznaki. Wielopolski czuł bardzo przykro swoje odosobnienie a przecież z niego wyjść nie chciał i czynił aż do końca wszystko w ten sposób, ażeby odtrącić od siebie ludzi zasad i przekonania. Dopuszczał tylko do siebie tych, którzy mu bezwzględnie ufali, o nic nie pytali i własne przekonania oraz własną samodzielność

przynosili na ofiarę jego nieograniczonej pysze. Dlatego to szczupłą, miał liczbę zwolenników a przyjaciółmi jego byli tylko ci, którym mógł jak służącym swoim rozkazywać.

Na początku września stronnictwo legalne, które jak to powiedzieliśmy, stanowiło tajemnie sformowaną organizację, mogącą się z powodu swej potęgi mierzyć z organizacją narodową, długo obradowało nad ówczesnem położeniem. Przekonawszy się, iż niebezpieczeństwo wybuchu przybierało kształty prawdopodobieństwa i że winny sposób zażegnać go nie będzie można, jak tylko zwrotem do odrębnej reprezentacji narodowej i przyłączeniem do Królestwa tak zwanych Krajów zabranych, a przynajmniej nadaniem im podobnych jak Królestwu reform, postanowiło udzielić swoje poparcie i oddać się pod rozkazy Wielopolskiemu, jeżeli nabędzie przeświadczenia, iż margrabia nie jest przeciwny tym żądaniom narodu i starać się będzie chociażby w dalszej przyszłości o ich urzeczywistnienie. W celu więc nabycia wspomnianego przeświadczenia, uchwalono wysłać deputację do Wielopolskiego z grona dyrekcji stronnictwa.

Deputacja przybyła do pałacu Bryłowskiego. Wielopolski przyjął ją, jak zwykł wszystkich przyjmować, bardzo ozięble i dumnie. (*) Oświad-

(*) Z mnóstwa faktów przedstawiających lekceważącą dumę magnacką Wielopolskiego, przytaczamy jeszcze następujący. — Konstanty Swidziński, który zbiory swoje i majątek zapisał Wielopolskiemu, a w liście ostatnim (drukowanym w Opisie Muzeum Swidzińskiego przez Józefa Łoskiego w Bibliotece Warszawskiej z 1856 i w osobnej odbitce) zaklinał go czule i rzewnie, ażeby chronił ulubione mu zbiory, które przez całe życie

czyła mu cel swego przybycia i zapewniła, że jeżeli margabia oświadczy im, iż żądania, które

gromadził i oddał je na pożytek publiczny, — po śmierci testatora przyjechał do Sulgostowa objąć zapisane mu dobra, kapitały i bibliotekę. Zostawały one pod zarządem brata zmarłego, Ludwika Swidzińskiego, kolegi szkolnego Wielopolskiego, człowieka zacnego, który wyszedłszy na emigrację w 1831 r. dosłużył się w wojsku hiszpańskiem stopnia majora, następnie powrócił do kraju i zamieszkał w Sulgostowie u brata Konstantego. Wielopolski po przybyciu do Sulgostowa, nie odwiedził nawet Ludwika, obejrzał pałac, zbiory i rozkazawszy rządcy dóbr podziękować bratu tego, który mu cały majątek zapisał, za troskliwą opiekę nad tymże majątkiem, odjechał. Dzielnym major uczuł afront mu wyrządzony, kazał zaprzadzić konie do bryczki i przed wsiadaniem z pistoletu strzelał w herby Swidzińskich na pałacu umieszczone, — zniszczywszy w ten sposób herby, odjechał i więcej się nie pokazał. Lekceważenie okazane rodzinie było jednym z powodów wytoczenia przez nią procesu Wielopolskiemu, kwestjonującego prawność zapisu. Wielopolski jak wiadomo proces wygrał, poczem jednak zwrócił sam majątek rodzinie nie zabezpieczywszy losu biblioteki. Dobra Sulgostowskie z miasteczkiem Klwów i 6 wsiami warte były 2,000.000. Oprócz tego znaczne były kapitały i biblioteka kosztująca ogromne sumy. Wszystko to wrócił margrabia Swidzińskim, zatrzymując sobie jako wynagrodzenie kosztów procesu 100.000 złp. Nie Wielopolski więc odstąpił bibliotekę Krasieńskim, lecz Swidzińscy, których do tego nakłonił Aleks. hr. Przezdziecki, obrany przez testatora na jej kuratora. Drugim kuratorem był Julian Bartoszewicz, z którym Wielopolski jako

mu przyniesiono, a któreśmy wyżej określili, uznaje jako słuszne i dobre i jeżeli obiecuje nie być im przeciwnym, lecz działać w ich myśli choćby w dalszej przyszłości, w takim razie całe stronnictwo umiarkowane odda się mu w bezwarunkowe posłuszeństwo i zapewniwszy swoich stronników o prawości polityki margrabiego — będzie spełniać jego rozkazy bez żądania jakichkolwiek z jego strony objaśnień. Margrabia, gdyby miał w sercu swoim wyryte pojęcia jedności narodu oraz wiarę w jego żywotność a z nią i te uczucia, które każdy prawy Polak żywi dla krajów wiekopomną Unją lubelską z Polską spojonych, byłby bezwątpienia żądane oświadczenie uczynił, zwłaszcza, iż deputacja za-

nie z panem, porozumiewać się nawet nie raczył. Swidzińscy przeznaczili na utrzymanie Biblioteki 6000 złp. rocznie. Drugie 6000 dodali Krasinscy, tak więc z winy Wielopolskiego, wielka ta i tak bogato uposażona biblioteka, ma tylko rocznego dochodu 12.000 złp. — Dumą swoją, egoizmem i postępowaniem gwałtownem zraził wszystkich których Swidziński w testamencie przeznaczył do sprawowania urzędów w bibliotece. Edwardowi Nowakowskiemu, bibliotekarzowi, za to, że nie chciał mu przepisać odpowiedzi polemicznej z Przeddziekiem i z Bartoszewiczem groził pistoletami. Tym postępkem zmusił tego spokojnego i zanego człowieka do ustąpienia z posady bibliotekarza. Edwarda Rulikowskiego, obranego przez Swidzińskiego na redaktora pisma, które miało być organem biblioteki, zmusił także do odstąpienia. O zatargach jego z kuratorami biblioteki, Bartoszewiczem Julianem i Aleksandrem hr. Przeddziekiem, świadczy drukowana polemika.

pewniła go słowem uczciwych ludzi, iż to co im oznajmi pozostanie w wiecznej pomiędzy nimi a nim tajemnicą. Margrabia atoli wysłuchawszy w milczeniu deputacji, sucho i węzłowato dał jej następującą odpowiedź: „Waszego ani niczyjego poparcia nie żądam i nie potrzebuję. Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, ale z Polakami nigdy.“

Odpowiedź ta lekceważąca a pełna zarozumiałości i pychy, z jaką ledwie samowładcze poczucie takiego Ludwika XIV. lub Mikołaja I. porównaćby się dało, rozwiała ostatnią nadzieję w umiarkowanych wspólnego działania z Wielopolskim dla dobra kraju, przekonała ich, że nie żywi on uczuć narodu, nie podziela jego żądań, że wreszcie margrabia jest ściśle związany z polityką rządu moskiewskiego. Odpowiedź ta odstrychnęła więc ostatecznie i raz na zawsze od osoby Wielopolskiego nachylające się ku niemu stronnictwo, przy pomocy którego mógł jedynie zapobiedz powstaniu.

XI.

Niepolityczna i nierozsądna odpowiedź Wielopolskiego, którąśmy dopiero co zacytowali, stała się przedmiotem długich dyskusji na zgromadzeniu szlachty, zebranem przez Dyрекcję stronnictwa. Zgromadzenie to liczyło przeszło trzysta osób, powaga więc jego nie ulegała zaprzeczeniu, jakoż było ono rzeczywistą reprezentacją kraju.

Pomiędzy przyczynami, które Wielopolskiego oddalały od umiarkowanych, wymieniano w czasie rozpraw niechęć i nienawiść margrabiego do Andrzeja hr. Zamojskiego. Ze nienawiść ta była jednym z powodów szorstkiego odprawienia wspomnianej deputacji i pogardzenia pomocą, jaką mu umiarkowani ofiarowali, nie ulega żadnej wątpliwości. Wielopolski uważał Andrzeja Zamojskiego za rzeczywistego naczelnika tego stronnictwa, chociaż wiedział, iż w jego Dyrekcji pan Andrzej nie zasiadał. Ponieważ jednak członkiem Dyrekcji był w tę porę syn pana Andrzeja, Władysław hr. Zamojski, sądził więc, iż pierwszy przez ostatniego wolę swoją i rozkazy komunikował całej organizacji umiarkowanych, i odpychając pogardliwie jej pomoc, mniemał, iż pogardę swoją wyraził znienawidzonemu panu Andrzejowi.

Wielbiciele dzisiejsi margrabiego przypisują Zamojskiemu powody przedłużania się niezgody pomiędzy nim a Wielopolskim i twierdzą, iż

margrabia proponował panu Andrzejowi podanie sobie ręki do wspólnej dla dobra kraju pracy, lecz Zamojski propozycji nie przyjął i zgodę odrzucił. Rzecz miała się wprost przeciwnie. Kilku obywateli widząc, jak nieszczęśliwe skutki dla sprawy narodu sprowadzała wzajemna niechęć obydwóch, usiłowało nakłonić ich do zgody. Usiłowanie to o tyle się powiodło, że obaj panowie przyrzekli podać sobie rękę. Pogodzenie miało się odbyć w salonie jednego z obywateli.

Zamojski przyjechał pierwszy, salon napełnił się znakomitemi osobami. W chwili, gdy Wielopolski do niego wchodził, Zamojski, który stał w framudze okna, postąpił krok naprzód, margrabia jednak przywitawszy gospodarza i obecnych przeszedł mimo Zamojskiego, udając, że go nie widzi, w kilka zaś minut potem odjechał.

Nie z winy więc pana Andrzeja, zgoda nie przyszła do skutku, lecz z powodu pychy Wielopolskiego, który nie mógł darować Zamojskiemu popularności, a jeszcze na wiele lat przed wypadkami drwił i wyszydzał czynności jego. Nie ulega więc, powtarzamy, wątpliwości, iż dla niechęci do Zamojskiego odrzucił pomoc całego stronnictwa. Nie była to jednak jedyna przyczyna; innych powodów należy szukać w charakterze margrabiego i w jego politycznej doktrynie.

Zgromadzenie szlachty na posiedzeniu swoim 11. września 1862 r. gruntownie roztrząsnawszy ówczesne położenie kraju, zastanawiało się nad środkami jego uspokojenia i w końcu zgodziło się na to, iż należało obmyślane przez siebie środki przedstawić W. księciu Konstantemu. Po znanej nam odpowiedzi Wielopolskiego

nie można było użyć go za pośrednika, postanowiono więc prosić Andrzeja Zamojskiego, ażeby żądania narodu zakomunikował namiestnikowi, który odezwą swoją upoważnił niejako kraj do przedstawiania sobie środków, mogących go wstrzymać na drodze „posuwania się ku przepaści.”

W tym celu wystosowano adres do Andrzeja Zamojskiego i z pominięciem Wielopolskiego wybrano go na pośrednika pomiędzy narodem a rządem, dając mu mandat przemawiania w imieniu ogółu. Adres ten jest bardzo ważnym dokumentem, zawiera bowiem żądania, którym zadośćuczynienie byłoby powstanie uczyniło niemożliwym. Podajemy go tutaj w całości, jako dobrze przedstawiający sytuację polityczną za rządów Wielopolskiego. Adres ten pokryty trzystu podpisami brzmi jak następuje:

„Bezprzykładne w dziejach nieszczęścia Polski, przecinając byt jej polityczny, nie dozwoliły osłabić ducha narodu, ani skazić w nim lub oziębnić gorących poczuć historycznego powołania. Duch narodu spoteźniał poświęceniem i ofiarą, uczucia wzrosły boleścią i wiarą w przyszłość; w chwilach stanowczych wołają one o zwrot odjętych a wiekami uświęconych praw i swobód narodu. Już w roku zeszłym podawaliśmy w tym celu adres do tronu, upominając się o prawa nasze, a wyborcy do utworzenia Rad powiatowych i miejskich powołani w podaniu do ówczesnego namiestnika, dwudziestu tysiącami podpisów pokrytem, oświadczyli: że nowo nadane instytucje grożącym niebezpieczeństwom zapobiedz nie zdołają, i że jedynie reprezentacja z wyborów powstała, przy jawnej dyskusji ogólnej potrzeby kraju wypowiedzieć może. Stan wojenny uniemożliwił doręczenie podania. Potrzeby

kraju, raz jeszcze nie uwzględnione, doprowadziły do przewidywanych nieszczęśliwych następstw. Dziś znowu, my Polacy, w imię społecznego porządku i cywilizacji europejskiej, powodowani odezwą J. c. W. W. ks. Konstantego, „aby nie dozwolić krajowi posuwać się ku przepaści bez wyjścia”, przybywamy ze wszystkich jego okolic i w braku innej do wystąpienia drogi otaczamy cię (t. j. Zamojskiego) w zaufaniu, że uosabiając w sobie ducha naszego narodu, wypowiesz J. c. Wysokości potrzeby i przekonania w głębi serc i umysłów naszych złożone; przekonania i potrzeby, których zatajenie za szkodliwe, a głośnie wypowiedzenie przed całym światem za konieczne uważamy. Od udziału w nowo nadanych nam instytucjach nie usuwamy się, lecz obowiązani jesteśmy oświadczyć, że środkami dotąd używanymi, doprowadzono kraj do stanu, w którym ani użycie siły wojskowej, sądów wojennych, więzień i wygnania, ani nawet kara śmierci, nie zdołają go uspokoić a przeciwnie ostateczne wywołają rozdrażnienie i pchną na drogi dla rządzących i rządzonych coraz zgubniejsze. My zaś, jako Polacy, wtedy tylko rząd zaufaniem popierać będziemy mogli, gdy rząd ten będzie naszym, polskim i gdy ustawą zasadniczą przy wolnych instytucjach złączone będą wszystkie prowincje, Ojczyznę naszą składające. Wszakże sama J. c. Wysokość w odezwie swojej uszanował tę naszą miłość Ojczyzny i przyrzeka nam współudział w pracy około jej dobra. Dzielić miłości nie możemy — Ojczyznę całą kochamy, w granicach, jakie jej Bóg zakreślił, a tradycje historyczne przekazały.”

Jasno określone żądania w tym adresie nie przechodziły po za sferę możliwości i opierały się na gruncie legalizmu przez Moskwę pogwałconym.

Powrócenie nieprawnie zniesionej (w 1832 roku) konstytucji dla Królestwa Polskiego, poręczonej przez traktat wiedeński, jako też ustanowienie rządu polskiego, jako wyniku tej konstytucji, byłoby powrotem na grunt legalny, którego Wielopolski mienił się obrońcą. Żądanie dalsze, ażeby inne prowincje dawnej Polski, tj. Litwa i Ruś, były połączone z konstytucyjnym Królestwem nie przekraczało także granic legalnych, zwłaszcza, iż cesarz Aleksander I. przy formowaniu Królestwa Polskiego połączenie tych prowincyj zapewnił i uroczyście przyobiecał.

Przypominamy umyślnie te fakta, ażeby wykazać, iż adres nie zawierał w sobie nic takiego, coby mogło być poczytane za bunt i czego by Wielopolski nie mógł poprzeć wpływem swoim u namiestnika. Jeżeli więc przedstawił namiestnikowi żądania w adresie, jako dowód buntowniczego usposobienia szlachty i jako akt oskarżenia Andrzeja Zamojskiego, uczynił to nie dla innej przyczyny, jak tylko w chęci zemsty osobistej. Mścił się na szlachcie, iż ta pomimo pogardliwego odepchnięcia nie ukorzyła się przed nim i w wyborze Zamojskiego wyraziła swoje niezaufanie do niego jako uaczelnika cywilnego rządu; mścił się na Andrzeju Zamojskim za dawne, niezem nieuzasadnione urazy, pozerany za zdradą, która mu odbierała spokój i powagę tak konieczną dla męża stanu.

Chociaż Andrzej Zamojski nie brał żadnego udziału w sporządzaniu zacytowanego adresu i nie wiedział nawet o tem, iż obywatele go podpisują, Wielopolski przecież obwiniał go przed namiestnikiem i carem jako inicjatora i kierownika tej nowej manifestacji i zażądał aresztowania i wygnania Zamojskiego. Stało się według jego woli.

Andrzej Zamojski wywieziony został po poprzedniej rewizji w jego domu do Petersburga w orszaku żandarmów d. 16. września. Tam przedstawiony carowi otrzymał paszport za granicę, jako wyrok wygnania.

W dniu wywiezienia Zamojskiego Wielopolski zamieścił w *Dzienniku Powszechnym* następujące ogłoszenie:

„Rząd cesarski nie dopuści, aby zbiór osób prywatnych przywłaszczał sobie znaczenie ukonstytuowanego ciała i żeby ktokolwiek z pośród poddanych cesarza i króla występował jako organ i przewodnik takiego zebrania. Za postępowanie takie, ustanowionemu porządkowi przeciwnie, hr. Andrzej Zamojski przed monarchą odpowiadać winien.“

W ogłoszeniu tem był fałsz, Zamojski bowiem nie był, jak to wykazaliśmy, bynajmniej winien, iż obywatele zgromadzili się i adres do niego jako do męża, zaufanie kraju posiadającego, wystosowali. Zawziętość jednak Wielopolskiego tak daleko sięgała, iż nie tylko nie cofnął się przed wygnaniem Zamojskiego, ale nie pozwoił będącemu już za granicą przybyć do Warszawy dla odwiedzenia konającej żony. Prośbie pana Andrzeja odmówiono, a małżonka jego umarła dnia 26. października nie widząc się z mężem.

Postępowanie z Zamojskim i odtrącenie potrzeb kraju, przedstawionych rządowi w skutek ośmielającej do takich przedstawień odezwy W. księcia, zerwało ostatni już węzeł, jaki łączył Wielopolskiego z stronnictwem legalnem. Znikła odąd wszelka nadzieja wyjednania za pośrednictwem margrabiego takiego urządzenia kraju, któreby było gwarancją przed nadużyciami Moskali i ciągiem gwałceniem prawa przez sam rząd

carski. Nadane instytucje nie były żadnem ubezpieczeniem kraju. Doświadczenie nauczyło, iż wszelkie administracyjne reformy dotąd tylko były utrzymywane, dopóki obracały się na niekorzyść narodu. Ile razy tylko rząd moskiewski spostrzegł, iż narodowość polska pożytek z nich odnosiła, tyle razy je ukrócał i w końcu cofał. Rady municypalne i powiatowe byłyby także cofnięte po uspokojeniu kraju; reformy wychowania również nie można było uważać jako zabezpieczonej; jedna konstytucja, byłaby aczkolwiek słabą a jednak gwarancją poszanowania narodowości polskiej. Konstytucji przeciw Wielopolski nie chciał i bronił, jak to widzieliśmy, ustanowionego porządku, w którym było wszystkim za ciasno.

Gdy stronnictwo legalne nabyło głębokiego przeświadczenia, iż Wielopolski całkowicie się zidentyfikował z rządem moskiewskim i na serjo jego politykę popierał, zaczęło porzucać drogi legalne i łączyć się z organizacją narodową, która już w tę porę stanowiła rząd w rządzie, i na każdym kroku zdolną była paraliżować rozporządzenia władz moskiewskich. Żywioł więc ruchu wzmógł się nadzwyczajnie w skutek ostatnich błędów Wielopolskiego.

Nieliczni jego przyjaciele usiłowali usprawiedliwić margrabiego z postępku jego z Zamojskim i odrzucenia żądania konstytucji, lecz brakło im faktów, któreby usprawiedliwić go zdołały. Jako fakt dobrych jego zamiarów dla kraju przedstawiali w tym czasie wyjednane przez niego pozwolenie publicznych sądów dla spraw politycznych. Jakoż sąd na Jaroszyńskiego, Rzońce odbywał się jawnie. W listopadzie zaś 66 członków organizacji narodowej sądzonych było publicznie w pałacu Paca na Miodowej ulicy. Ob-

winionych bronili adwokaci, czego dotąd w sądach politycznych, tajemnie w cytadeli odbywanych, nigdy nie bywało. Ponieważ jednak sąd, przed którym toczyła się sprawa, nie był sądem cywilnym, lecz wojskowym i sądził nie według prawa karnego, lecz według kodeksu wojskowego, ujawnienie to sądów nie miało wielkiej doniosłości. Doniosłość ujawnienia zmniejszyła jeszcze ta okoliczność, iż śledztwo odbywało się jak dawniej w cytadeli, i prowadzone było przez komisję śledczą, której dzieje zapisane są w rocznikach polskiej niewoli również krwawymi głóskami, jak dzieje hiszpańskiej inkwizycji.

Zwrócić tu jeszcze należy uwagę, iż ze spraw politycznych, których ogromną liczbę wskazywały aresztowania, codziennie powtarzające się, zaledwo tylko kilka oddano pod jawne postępowanie. Odmiana więc na tem polu przez Wielopolskiego uzyskana była małej wartości, i nie usunęła bezprawia i gwałtów, jakim zawsze podlegali więźniowie polityczni.

Jawność kilku sądów ten tylko skutek przyniosła, iż publiczność była niemi niezmiernie zajęta, a głosy, krytykujące postępowanie komisji śledczej i sądu wojskowego, mogły stać się w przyszłości pewnym na nie hamulcem.

Wyroki, jak i dawniej, skazywały oskarżonych na Sybir, na odsiadywanie bowiem kary więzienia w kraju rząd moskiewski zezwolić nie chciał.

XII.

W miesiącach wrześniu i października 1862 usposobienie umysłów tak w Warszawie jak w całym kraju wykazywało już bardzo podniesioną temperaturę walki.

Duchowieństwo na kilku zjazdach, jakie się odbyły na prowincji, uznało władzę komitetu centralnego narodowego; obywatele wiejscy po wygnaniu Zamojskiego całemi okęgami poddawali się władzy tegoż komitetu, — miasta już dawniej bezwarunkowo go słuchały. Organizacja narodowa wzrosła do liczby kilkudziesięciu tysięcy ludzi i przybierała kształty tajemnego polskiego państwa. Komitet jako rząd wysyłał rozkazy nawet do władz moskiewskich, i pod karą przepisaną wymagał ich spełnienia. Urok jego władzy i wyobrażenie o jego potęgę było tak wielkie, iż rzadki był wypadek, ażeby rozkaz komitetu nie był wykonany.

Należy przytem nadmienić, iż zawiązany tajemny związek pomiędzy wojskiem moskiewskiem, liczył sto kilkadziesiąt kółek, któremi kierowali oficerowie Moskale i pracowali bardzo gorliwie nad przygotowaniem umysłów żołnierzy do wystąpienia przeciw carowi za wolnością własnego, moskiewskiego narodu. Rząd carski trafiał na ślady tych robót w wojsku, rozstrzelał kilku oficerów w Modlinie, wielu wygnał lub przetranslokował, lecz odkryć związku nie zdo-

łał a sięgał on już do sztabów i otoczenia w. ks. Konstantego. Rozszerzyło się mniemanie u nas, iż związek ten wojskowy stał się podniętą do powstania, w chwili zaś wybuchu oficerowie związkowi sprawę zdradzili. Jest to zupełnie mylne twierdzenie, oparte na nieznamomości rzeczy. Związek ten nie wpływał bynajmniej na decyzje komitetu, spełniał zaś ściśle rozkazy od niego odbierane.

Gdy zaś zebrano sześćdziesięciu kilku oficerów--Moskali na Bielanach dla zdania sprawy przed członkiem komitetu centralnego ze swoich czynności i zarazem z postępu propagandy pomiędzy szeregowymi, wszyscy zdali najsumieniejsze raporta. Oświadczyli, iż liczyć na prostych żołnierzy jeszcze nie można, że gdyby powstanie wybuchnąć miało, byłoby przedwczesnem, że więc należy dalej prowadzić tak dobrze rozpoczętą i znakomicie kierowaną robotę wyrwania z rąk rządu carskiego władzy i do powstania nie przystępować. Nieprawdą jest także, jakoby ci związkowi w chwili wybuchu zdradzić mieli powstanie.

Wielu z nich zginęło w szeregach polskich, inni zaś, słabszego charakteru, czekali dopóki nie sformuje się armia polska, gdy się zaś takowa nie sformowała, nie chcąc się łączyć z oddziałami partyzanckimi, przenieśli się do komend zostających w caracie, lecz sprawy nie zdradzili. Jeden tylko z nich i to wyższego stopnia oficer walczył przeciw powstaniu w ten sposób, że komenda jego stała się więcej szkodliwą dla cara niż dla powstańców.

Wracając jednak do opisu położenia w miesiącach, które poprzedziły powstanie, wspomnieć przedewszystkiem musimy, iż rząd w. ks. Konstantego wśród ogólnego ruchu umysłów ku wol-

ności i niepokojących go objawów w wojsku, uczuwał się z dniem każdym coraz więcej bezsilnym. W książę przestał dowierzać nawet swoim adjutantom i począł wątpić w możność utrzymania carskiej władzy. W zwątpieniu, jakie go ogarnęło, sam tylko prawie Wielopolski podtrzymywał w nim energię, zapewniając, iż ruch buntowniczy, jaki się dawał spostrzegać, jest bezsilny i łatwo się da stanowczym wystąpieniem pokonać i uspokoić. Przypisywał go wpływom zagranicznym, nie zaś jak było w rzeczy samej poczuciu prawa narodowego i potrzebie wolności, którą srogi ucisk i gwałtami zohydzone postępowanie władz carskich uczyniły wszystkim niezmiernie drogą.

Argumenta Wielopolskiego tem łatwiej trafiały do przekonania W. księcia a przez niego i do przekonania cara, iż w Petersburgu w samym początku ruchu (1861 r.) przypisywano jego wypadki wpływowi Austrii i nadaniu Galicji wraz z całą monarchią austriacką konstytucji. Błędne to przekonanie wyraziło się w samem powołaniu Wielopolskiego do władzy. Zwrócono się bowiem wtedy do niego jako do tego, który w imię słowiańskiego pokrewieństwa wzywał kiedyś cara Mikołaja do zemsty nad Austrią. W wspomnianej w początkowych rozdziałach naszego studjum konferencji Wielopolskiego z Panniutynem, a następnie z Gorczakowem, była mowa o tym wpływie Austrii i motywowano z obu stron potrzebę reorganizacji Królestwa w duchu narodowym, koniecznością pozyskania dla cara Polaków, w Galicji zamieszkałych, i odemśzczenia w ten sposób sąsiadowi za kłopoty sobie wyrządzone.

Do przeprowadzenia reform i nadania im niemiłego dla sąsiadów znaczenia, dlatego wła-

śnie wydawał się Wielopolski najodpowiedniejszym, iż sam on kiedyś myśl zemsty nad Austrią podniósł za pośrednictwem polskiego narodu przez „słowiańską Rossję“ pozyskanego.

Też same słowiańskie marzenia wyrobiły wpływ Wielopolskiemu na umysł W. księcia Konstantego i aż dotąd utrzymywały go pod tym wpływem. Gdy więc Wielopolski niepowodzenia, jakich doznawały wspólne jego rządy z namiestnikiem, przypisywał nie własnym błędom, lecz podżeganiom austriackim a w części i pruskim, W. książę najzupełniej dawał temu wiarę i mniemał, że proponowane przez margrabiego wychwytywanie agitatorów położy koniec niepokojom i usunie wszelkie przeszkody, jakie słowiańska jego misja w Polsce napotykała.

Wielopolski w początkach października proponował pobór do wojska, jako najlepszy środek oddalenia z kraju agitatorów. Ogłoszenie o mającym nastąpić poborze nastąpiło 6. października. Chłopi i dziedzice mieli być uwolnieni, za to w miastach żadne nie miały mieć miejsca wyłączenia od branki. Wiadomość o poborze wywarła bardzo przykre i stanowcze w kraju wrażenie, zwłaszcza iż niedługo mogły być zachowane w tajemnicy nieogłoszone przepisy, które z tego poboru czyniły niepraktykowany dotąd sposób ogólnej kary za polityczne manifestacje. Chłopów i szlachtę Wielopolski oszczędził w tej jedynie myśli, iż będąc pewnym, iż pobór doprowadzi młodzież po miastach zamieszkałych do powstania, chciał to powstanie uczynić cząstkowem i słabem przez zobojętnienie dla niego oszczędzonej ludności wiejskiej. Rozmiary jednak, jakie postanowiono nadać tej dziwnej brance, były tak wielkie i okrutne, iż kraj od razu pozbawionyby został najdzielniej-

szej młodzieży. Po jej zabranii myślał margrabia krótko załatwić się z podejrzaną lub z oskarżoną o opozycję starszyzną za pośrednictwem uwigień i sądów.

Uprzątnąwszy w ten sposób elementa oporn sądził margrabia, iż wśród powszechnego milczenia spokojnie będzie mógł potem rządzić Królestwem Polskiem i zaszczeniać w niem uczucia słowiańskiego braterstwa do narodu moskiewskiego, kosztem oddania ostatniemu na wieczną pastwę Litwy i Rusi i kosztem zrzeczenia się prawa Polaków do niepodległości.

Te wstrętne cele tłumaczą nam, dlaczego margrabia, tyle razy nagabywany o wyjaśnienie swojej polityki, mileżał uporeczywie, a samym tylko Moskałom odsłaniał ją szecerze.

Instynkt narodu, jak zawsze, tak i wobec Wielopolskiego okazał się nieomylnym, jeżeli zaś dzisiaj w ocenianiu tejże samej polityki czytamy uwielbienia i pochwały, znak to smutny, iż kusiele narodu zdołali ten instynkt omylić. Apologistów Wielopolskiego nie zdołała powstrzymać nawet pamięć tego, iż zaczął on swoją karierę męża stanu od rozwiązania najpożyteczniejszej instytucji i od poniżenia kościoła *) a

(*) Już nam jest znane zapatrywanie się Wielopolskiego na swobodę kościoła i wiemy, że na drodze walki państwa z kościołem, wyprzedził wraz z Moskałami Bismarka. *Kurjer Poznański*, który tak zacięcie walczy z Bismarkiem, i potępia bardzo słusznie ograniczenie praw kościoła, dla czego piórem swojego korespondenta krakowskiego, znanego ze swoich ku moskiewskiej służbie popę-

skończył ją najgorszym z czynów — ogólną proskrypcją młodzieży. Gdy zwracano

dów, oświadcza się za niewolą kościoła katolickiego pod zaborem moskiewskim w adorowaniu Wielopolskiego. Kto tego ostatniego jest stronnikiem, ten musi pochwalić jego politykę względem kościoła — to darmo. Ukaz którym car ustanowił komisję wyznań i oświecenia publicznego, zawierał opis atrybucji skreślony według wniosku Wielopolskiego. Ukaz ten znalazł gruntowny rozbiór i surowe potępienie w Dokumentach ogłoszonych z rozkazu Piusa IX. o prześladowania kościoła w Polsce. — Cytujemy ustęp z tej krytyki Ojca świętego jednego z aktów, którym Wielopolski najbardziej się chlubił, dla przekonania księży piszących gazety o potrzebie dokładnego wprzód zbadania rzeczy zanim się sąd o niej wyda i dla przekonania ich, że nieroztropnie postępują wielbiąc politykę margrabiego. Oto jest wspomniany ustęp:

„IV. Ukaz z d. 27. grudnia 1861 (tj. z dnia 8. stycznia 1862), na mocy którego została ustanowioną Komisja wyznań i oświecenia publicznego w Królestwie Polskiem, jest również w jawnej sprzeczności z zasadami fundamentalnymi kościoła katolickiego i z uroczystymi konwencjami konkordatu.

Przez ukaz ten, a w szczególności przez postanowienia w jego części odnoszącej się do wyznań, granice władzy cywilnej zostały rażąco przekroczone, bo wszystkie owe postanowienia dotyczą osób i rzeczy religijnych i świętych, a tak jedne jak i drugie roztrząsa, sądzi i o nich orzeka komisja, którą składają ludzie różnych wyznań, i która otrzymuje władzę przez się sprawowaną nie od kościoła, ale od cara.

jego uwagę, iż pobór, którego rozporządzenie znosząc obowiązujące dotąd przepisy prawa, ma tak wyjątkowy charakter, że musi wywołać wśród powszechnego rozgorączkowania umysłów powstanie, rzekł z zwykłą sobie nieczułością następujące słowa: „Wrzód wezbrał i rozcierać go należy. Powstanie stłumię w ciągu tygodnia i wtedy będę mógł rządzić.“

Z świadomością więc skutków swojego rozporządzenia, takowe do-

Przez tenże sam ukaz zostają wywrócone ustrój wewnętrzny, rząd i zarząd kościoła i dyscypliny kościelnej, zagarnia on pewne punkta, zastrzeżone dla najwyższego zwierzchnika duchownego nad całym kościołem katolickim; w innych zaś wielu punktach uzurpuje on jurysdykcję biskupów, którzy ją mają sprawować nad właściwą swą owczarnią i w granicach oznaczonych przez św. kanony. I w istocie, zastanowiwszy się na przykład nad artykułem 8, łatwo widzieć jak postępowano, aby dojść aż do poddania komisji rządowej stosunków albo spraw duchowieństwa ze Stolicą św. w ten sposób, że biskupom nie pozostawało już nic prawie innego, jak tylko wypełnianie ceremonii świętych, udzielanie sakramentów i wykonywanie cenzur, bez uszczerbku zresztą rekursu do komisji rządowej. Otóż co do tego ostatniego punktu, to kościół w swych własnych ustawach już dawno go przewidział i postanowił, że w wypadkach, gdy się kto uważa niesłusznie dotkniętym przez orzeczenie swego biskupa, wolno mu apelować do władzy wyższej, której ostatnią instancją jest sąd najwyższej stolicy Apostolskiej. Po za tem jeszcze rzeczony ukaz jest pogwałceniem konkordatu.“

radził moskiewskiemu rządowi i w wykonanie wprowadził.

Co jeszcze poborowi nadawało podlegające znaczenie, to ta okoliczność, iż przez lat kilka po krymskiej wojnie poborów do wojska wcale nie było, i ludność zaczęła się już oswajać z tą myślą, iż się na zawsze uwolniła od strasznej plagi jassyru, jakim była służba w wojsku moskiewskim, w oddaleniu od kraju i bez nadziei powrotu do niego odbywana. Młodzież więc od d. 6. października takim wygnaniem zagrożona, poczęła się burzyć i gwałtownie upominać się o danie jej oręża dla własnej obrony. Komitet centralny narodowy naciskany był ze wszystkich stron o to, ażeby młodzieży nie dał porwać, chociażby przyjsć miało do powstania.

Żądania podobne pochodziły nietylko ze strony zagrożonej, ale nawet od obywateli, których oszczędzeniem Wielopolski zamierzał pozyskać. Komitet centralny wśród takiego położenia, gdy groźne fale zewsząd wzbierały, czynił wszystko co mógł, aby okręt zachować od zatonięcia. Powstanie rychło nie leżało w jego planie, chciał on przez sformowanie tajemnego państwa, którego władzę rozciągnąć zamierzył aż do Petersburga i Wołgi, co mu się w części zaczęło udawać, podminować jawne państwo cara, i wtedy przystąpić dopiero do jego wywrócenia, gdy okaże się równie bezsilnym w Moskwie i w nadnewskiej stolicy, jak już było bezsilnym w Warszawie, Wilnie i w Kijowie.

Widząc jednak, iż pomimo odległego terminu powstania, wyprężona przez bezduszną politykę Wielopolskiego struna pęknąć może lada chwila i wzniecić przedwczesny wybuch, postanowił na ten wypadek być także przygotowanym, i wysłał jednego z swoich członków do An-

glii i Francji po zakupienie broni, która złożona w pewnym a bezpiecznym miejscu, zostawać tam miała aż do jego rozkazu.

W grudniu odbywały się dzień po dniu posiedzenia Komitetu centralnego, poświęcone narodom nad obmyśleniem środków zachowania się narodu wobec prowokacyjnego środka Wielopolskiego. Po długich naradach, gdy sumiennie rozważono i obrachowano wszystkie szanse powstania, zapadła uchwała, iż pomimo poboru, powstania nie będzie. Ponieważ jednak nie można było pozwolić na porwanie patriotycznej młodzieży, Komitet zaś narody posiadał dostateczne środki oporu, uchwalono dalej zarządzić systematyczną dyslokację spisowych, tj. oddalić zagrożonych z miejsca ich zamieszkania, i pod okiem władz organizacji narodowej przerzucać ich z miejsca na miejsce, dopóki się nie okaże niemożność władz carskich ujęcia takowych. Było to tem łatwiejsze do przeprowadzenia, iż Komitet porozsyłał rozkazy do władz rządu moskiewskiego, zakazując im śledzenia wydalonych z miejsca spisowych; miał zaś w swoim ręku już tę potęgę, iż mógł te władze zmusić do spełnienia swojego rozkazu.

Wobec tego pobór w niektórych tylko miejscach mógł być dokonany, tam zwłaszcza, gdzie władza Komitetu nie dawała się dość silnie uczuwać. Obrachowano, iż z liczby kilkudziesięciu tysięcy udałoby się Moskalom nie więcej jak 2 lub 3 tysiące młodzieży porwać.

Gdy środki dyslokacji zarządzono i Komitet był pewnym, że powstania nie będzie, zdarzył się wypadek, iż policja paryzka zawiadomiona przez któregoś z emigrantów o przybyciu do Paryża członka Komitetu, ciekawa jak każda policja jego misji, pod błahym pozorem przyare-

szowała go, ażeby przeczytać znajdujące się przy nim papiery. Papiery te policja paryzka dała tejże nocy do odkopiewania ambasadorowi moskiewskiemu Budbergowi, oryginały zaś zwróciła nazajutrz uwolnionemu Godlewskiemu. Zygmunt Sierakowski, który znajdował się w Paryżu, dowiedział się tegoż dnia od samego Budberga o niecnym postępku paryzkiej policji, i przybiegł do Warszawy ostrzedz Komitet przed następstwem odkrycia tajemnicy rozporządzeń, jakie miał przy sobie Godlewski. Rozporządzenia te tyczyły się zakupna broni, którą na wszelki wypadek złożyć miano w pewne ukryte miejsce.

W ślad za Sierakowskim przybył kurjer Budberga z kopią odkrytych papierów, i wręczył ją W. księciu Konstantemu. Na zebranej w Zamku naradzie Wielopolski zabrał głos i radził przyspieszyć termin poboru w tym celu, ażeby powstanie, którego wybuchu napewno się spodziewał, było bez broni. Rada jego została przyjętą, i termin branki naznaczono na d. 15. stycznia 1863 r.

Komitet odebrawszy na drugi dzień dokładny raport o naradzie odbytej w Zamku, pomimo przyspieszonego terminu branki, nie odmienił postanowienia swojego, iż powstania nie będzie, i zostawił w mocy rozporządzenie swoje o dyslokacji spisowych. Członkowie Komitetu zagrożeni aresztowaniem w skutek przejętych w Paryżu papierów, złożyli swoją władzę w ręce zastępców, sami zaś ustąpili.

W dniach 10., 11., 12. stycznia rozpoczęła się w Warszawie dyslokacja spisowych przez wyjście zagrożonych do Kampinoskiej puszczy i do Serockich lasów, gdzie mieli być ulokowani w pobliskich wioskach.

Dnia 15. policja napadła na domy w Warszawie przy asystencji 15.000 żołnierzy, rozstawionych na ulicach, rozpoczynając fatalną brankę, i tam, gdzie nie było spisowego, zabrała nieznanego się na liście proskrypcyjnej młodzieńca.

Nocna ta napaść i sposób, w jaki była dokonana, wzruszyła całą Warszawę. Usposobienie ludności okazywało gwałtowność rozpacz. Na dobitkę wszystkiego pojawił się w *Dzienniku powszechnym* artykuł przez Wielopolskiego napisany, w którym opisując brankę w Warszawie dokonaną, oznajmił kłamliwie, iż młodzież polska, znudzona anarchią występnym agitatorów, z wielką radością szła do służby moskiewskiej, jako do szkoły porządku.

Ton szyderczy triumfującego margrabiego był policzkiem wymierzonym narodowi. Obelgę tego policzka powszechnie poczuło i to tak głęboko, iż nawet Dyrekcja stronnictwa umiarkowanych oświadczyła przez usta jednego z swoich członków Komitetowi, „iż żałuje, że Komitet powstrzymał krwi rozlew, której choć kilka kropel byłoby niedopuszczało tej obelgi.“

Są słowa złowrogie, które więcej bolą od najdotkliwszych klęsk materialnych, jest ton mowy, który większe cierpienie zadaje od przesławiania; takim słowem jest szydzenie z świętej sprawy, takim tonem jest triumfujące nagrawanie się nad nieszczęśliwymi!

Słowo Wielopolskiego d. 15. stycznia przepełniło kielich goryczy i obrażony honor narodu podał rozpacz broni w rękę. Dnia 17. stycznia Komitet odebrał z prowincji od władz organizacyjnych ultimatum, że jeżeli nie zarządzi

powstania, ono samo bez kierownictwa w różnych miejscach prowincji wybuchnie, i że już jego ruchy zaczynają się objawiać.

W nocy więc z 17. na 18. nastąpiła uchwała znosząca rozporządzenie o dyslokacji spisowych a nakazująca powstanie. Powstanie wybuchło z dnia 22. na 23. stycznia i nie tydzień trwało, jak przepowiadał Wielopolski, ale przez ośmnaście miesięcy pasowało się z najpotężniejszym państwem militarnym, przed którym w tej chwili uległ Wschód a czuje się zagrożoną cała Europa.

Moskale znalazłszy się raz w swoim żywiole militarnych rządów, powiedzieli Wielopolskiemu, że więcej usług jego nie potrzebują. Nie spełniła się więc i druga przepowiednia margrabiego, że po stłumieniu powstania będzie mógł bez oporu swobodnie rządzić.

Odepechnięty przez tych, którym zaufał i dla których Polskę poświęcił, naraziwszy dla wypróbowania swojej panslawistycznej doktryny naród na długi rozlew krwi i klęski, jakie za nim poszły, oddalił się obdarty ze swoich iluzji do Drezna, gdzie dostawszy rozmiękczenia mózgu, po długiej chorobie umarł dnia 30. grudnia 1877 roku.

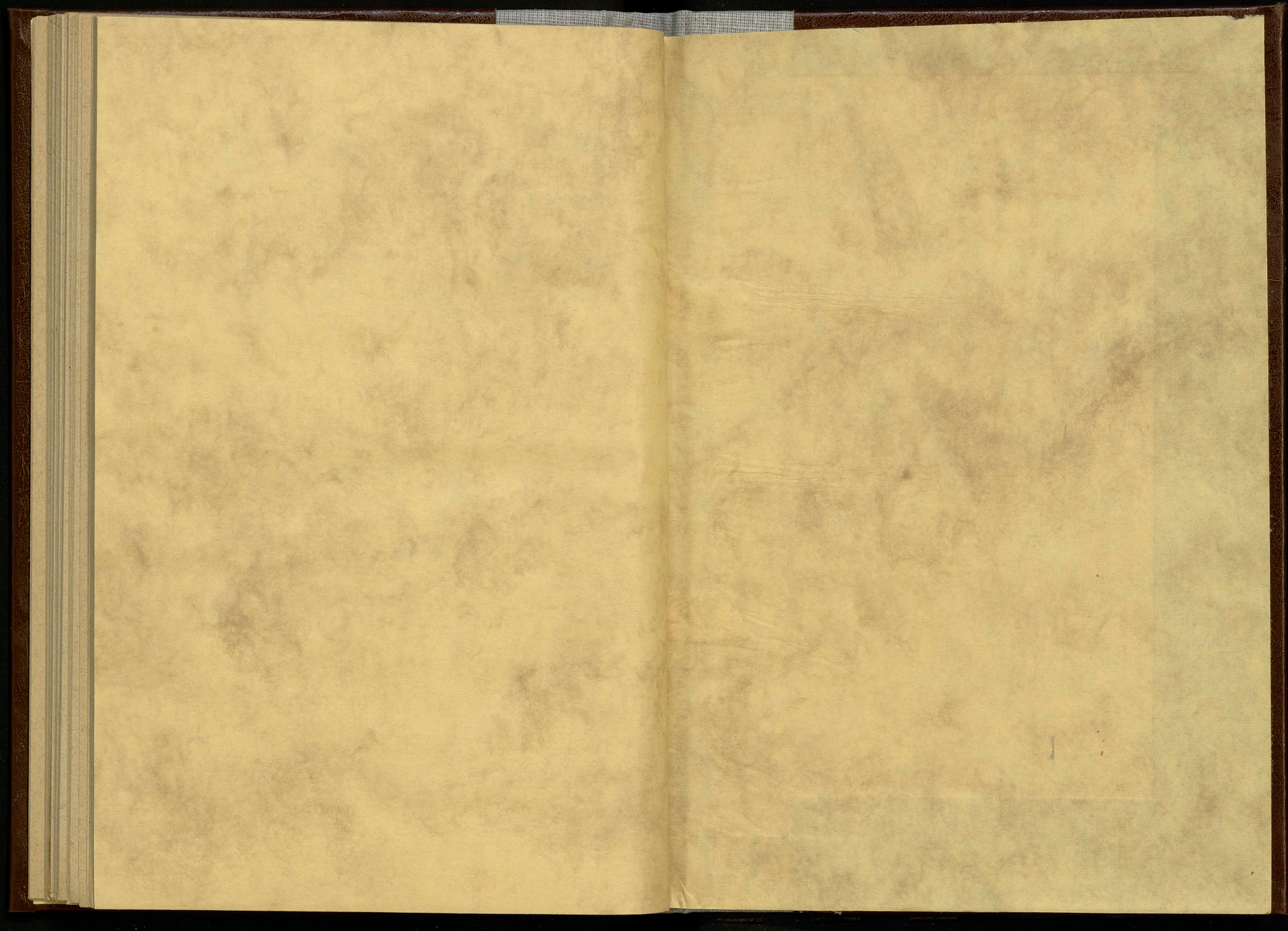
Mniemaliśmy, iż nad grobem jego zapanuje ponure milczenie, jako wymowna przestroga dla tych, którzy wyższymi siebie mienią nad własny naród, nagiąć go chcą według własnej doktryny do celów mu obcych i wstrętnych. Zamiast jednak milczenia nad grobem jego, ci wszyscy, którzy niewolę noszą w sercach, zaczęli pamięć jego podnosić pochwałami i uwielbiać jako bohatera narodu.

Kłamstwa użyto zamiast prawdy, bo tylko w świetle kłamanem Wielopolski może być przed-

stawiony jako wielki mąż stanu, który dążył do wybawienia Polski. Jego błędy, winy i zbrodnie zwałono na innych i poczęto kusić naród na drogi, na końcu których mniemane ocalenie w sojuszu z Moskwą okazałoby się zupełnem jego zatraceniem.

Przed tem kuszeniem niechaj będzie przestrogą ten obraz czynów i polityki margrabiego, który staraliśmy się nakreślić ściśle według faktów zapisanych w historii, a na które patrzyło tysiące dzisiaj jeszcze żyjących ludzi.





525144

Kol.: z bibl. W. i R.
Śliwowskich

XIX w. ^{sz.}

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0534802